Rok VII. — Tom IV. — Zeszyt 1—2.

MODERATOR

DWUMIESIĘCZNIK

przeznaczony wyłącznie dla Księży Kierowników Sodalicyj Marjańskich

Styczeń — Kwiecień 1935

Wydawnictwo Księży Jezuitów, Kraków, Kopernika 26

MODERATOR

wychodzi jako

DWUMIESIĘCZNIK

z wyjątkiem feryj letnich.

PRENUMERATA ROCZNA

wynosi w kraju 4·— zł., zagranicą 6·— zł.

Pojedynczy numer kosztuje 1·— zł.

REDAKCJA

jest w KRAKOWIE,

MAŁY RYNEK L. 8.

Wszelkie zatem sprawy dotyczące Redakcji, korespondencje, artykuły do „Moderatora" i t. p. prosimy kierować pod tym adresem.

ADMINISTRACJA

jest nadal łącznie z WYDAWN. KSIĘŻY JEZUITÓW

KRAKÓW KOPERNIKA L. 26.

Sprawy administracyjne: zamówienia, regulowanie prenumeraty, reklamacje i t. p. należy kierować pod tym adresem.

TREŚĆ ZESZYTU:

REDAKTOR: *Ks. Romuald Moskała T. J.*

ZE ŚWIATA I DLA ŚWIATA DUSZ

Kierownictwo duchowne ludzi świeckich.

Współczesna myśl o doskonałości ludzi świeckich.

Tchnienie Boże, które porusza i wzywa duszę ku prawdziwej pobożności i wyższym stopniom doskonałości istnieje i istniało zawsze w Kościele. Obok licznych świętych zakonników i kapłanów widzimy również zastępy świętych ludzi świeckich i to ze wszystkich czasów i stanów. Chrześcijaństwo bowiem nikogo od doskonałości nie wyklucza, ani też nie skazuje nikogo na same tylko niższe jej stopnie. Zarówno zbawienie jakoteż zbawienie w stopniu doskonalszym stoi otworem przed każdym z synów św. Kościoła. Owszem, *Królestwo niebieskie* — jak wyraża się sam P. Jezus — *podobne jest kwasowi, który wziąwszy niewiasta, zakryła we trzy miary mąki »donec fermentaretur totum«.* To Boże Królestwo, lubo jest procesem powolnym, jest wszelako zjawiskiem nieprzerwanej fermentacji, która nie ustanie — *donec fermentaretur totum...*

Jednakowoż, gdy chodzi o formy i stany doskonałości, to były one czemś więcej wyodrębnionem, czemś co się wyodrębniało i odcinało nazewnątrz od reszty chrześcijańskiej społeczności. Tworzono pewne wysepki i przystanie, w których w pewien bliżej określony sposób wcielano w życie trzy rady ewangeliczne: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, jak w życiu zakonnem lub radę czystości i apostolskiej pracy dla dusz, jak w stanie biskupim czy w pewnej mierze — w kapłańskim. Te wysepki i przystanie mógłby ktoś porównać do arki Noego, która ratowała wybrane jednostki od niebezpieczeństwa ogólnego potopu. Tworzono je oczywiście dlatego, aby z nich można było skutecznie podać pomocną dłoń i tym, którym to niebezpieczeństwo zalewu głównie groziło. Komórki podobne powstać

musiały, boć doskonałość chrześcijańska, aby móc wyjść ze stadjum zaczątków i kiełkowania, musiała wcielać w życie jakieś rady, rzucone niejako przez Chrystusa Pana na łamy Ewangelji. Jedne z tych rad są tą drogą urzeczywistniane, inne zaś — a jest ich sporo na kartach Ewangelji — jak ziarna rzucone w niewyprawny grunt ludzkiej niwy, czekają nadal na swą realizację... Ta właśnie niwa ludzka zaprawiona już ewangelicznym kwasem jest w pewnym stopniu przynajmniej zaczątkowej doskonałości, na tle której często wyrastają jej stopnie wyższe a nieraz i świętości nadzwyczajne. Stan ten, można rzec, normalny, dawniej nie budził poważniejszych obaw — proces fermentacji powoli rozwijał się i mimo liczne wahania zmierzał do kresu: *donec fermentaretur totum*...

Dziś, w czasie powszechnej demokracji i ułatwionej komunikacji, wszystko się p o p u l a r y z u j e — również niemoralność, niewiara a nawet wojujący ateizm rozlewają się coraz szerzej i demokratyzują. Ten kwas ewangeliczny, którym zostały zadane olbrzymie masy ludzkie, bywa obecnie rugowany przez prądy mu wrogie, a co za tem idzie, masy nim zadane coraz więcej stają się czcze, schną i kruszeją... Proces ten dechrystjanizacji rozwija się szczególnie groźnie obecnie, niejako na naszych oczach. Nic innego jak ten właśnie fakt powołał do życia dzieło opatrznościowe, Akcję Katolicką. On też porusza głęboko elitę katolicką, która uświadamia sobie swą rolę w tej zmienionej sytuacji. Wszak jest rzeczą oczywistą, iż obok dotychczasowych form doskonałości i niejako równolegle do organizującej się pod przewodem pasterzy katolickiej społeczności, muszą powstawać nawewnątrz tej społeczności i w samem łonie ludzkiej masy ogniska intensywniejszego życia ewangelicznego. Czujemy potrzebę tworzenia nowych form dla życia doskonałego, realizacji nowych może rad ewangelicznych. Oczywiście dziś jeszcze trudno przewidzieć jakie kształty konkretne przybiorą te nowe ogniska życia doskonalszego, które z obecnych prądów zapewne zczasem wykrystalizują, ale pojawienie się ich na horyzoncie może już niedalekiej przyszłości zdaje się nie ulegać wątpliwości, wieszczy je już niejeden z umysłów najgłębszych (Bergson, Rademacher).

Zdajemy sobie też sprawę z tego, że dziś nie trudno popaść w pewien pesymizm. Temu, kto obserwuje przeliczne winy

i skrzywienia jakim podlegają ludzkie sumienia, może się wydać, że świat ten wysunął się niejako z rąk Bożych, że popadł zupełnie w sferę ludzkiego, jeśli nie szatańskiego, egoizmu i przewrotności. Światu temu zdaje grozić jakiś kataklizm, jakby nowy potop — wobec czego za jedynie wskazane wydaje się ratowanie jednostek do »ark Noego« z tej ogólnej niejako *massa damnata*. — Otóż nie, za istnienia Kościoła św. potop już się nie powtórzy, świat ten jest nadal w promieniach niewyczerpanej Bożej dobroci, czeka on na nowe tchnienie Ducha na daleką jeszcze drogę doskonalenia się i kultury, co się przed nim otwiera. — Mogą być miejscowe zalewy i szerokie powodzie, które będą niejako wyplókiwać ludzkość z Chrystusowego kwasu, lecz kwas ten nigdy jej się uspokoić nie pozwoli — *donec fermentaretur totum*. Kto widzi dobrze z n a k i c z a s u, ten łatwo dostrzeże, że wszelkie formy życia doskonałego mają dziś rolę donioślejszą niż może kiedykolwiek — zakony nic z swej żywotności nie tracą, one same jednakowoż nie wystarczą. Potrzeba ludzi, którzyby tkwili w tej ziemi wszystkiemi korzeniami jakiemi człowiek w niej tkwić może, lecz zarazem ludzi, których wzrok jest zwrócony ku górze, którzy są bezwzględnie Bogu poddani i dla Niego zawsze otwarci. Żyć oni winni pośród świata, biorąc czynny udział w jego kulturze i żywiąc się bez bojaźni jej owocami, których tylko ludzka podłość nie zatruła, lecz zarazem z całem męstwem znosić będą napór prądów i burz świata zepsutego. A drzewo im silniejsze znosi wichry i burze, tem więcej musi się zakorzeniać. Oni mają tam zostać, zachować i owszem rozwijać w pełni swe potoczne życie: rodzinne, zawodowe, towarzyskie, obywatelskie... z drugiej strony za cel główny uważać chrześcijańską doskonałość. Brzmi to prawie paradoksalnie i odrazu rodzi się trudność. Jakże mówić o doskonałości u ludzi prawie zupełnie zaabsorbowanych swem życiem potocznem, które im może tylko bardzo niewiele czasu zostawić na praktyki religijne i modlitwę. Możnaby im jeszcze dodać małą nadbudówkę religijnego życia, lecz co za proporcja będzie między niem a resztą życia tych ludzi, które ich wprost pochłania i rozrywa? Bezwątpienia trudność jest rzeczywista, lecz chodzi właśnie o to, aby obok koniecznych modlitw i ćwiczeń duchownych niczem ich więcej

nie obarczać i nie stwarzać żadnych nawet religijnych »nadbudówek«.

Cały natomiast wysiłek doskonałości zmierzać będzie do przepojenia i przesycenia ich życia ludzkiego — takiego jakiem ono jest — światłem Bożem i łaską: ma być ono niczem innem jak świadomem pełnieniem w o l i B o ż e j. *Czy jecie, czy pijecie czy cokolwiek innego czynicie, wszystko na chwałę Bożą czyńcie.* Nie chodzi więc o tworzenie obok czy ponad życiem powszedniem jakiegoś nowego, o zakładanie jakiejś dodatkowej nadbudówki, lecz o wytworzenie z nich czegoś jakby organicznie jednego, jednolitego niejako stopu, którego stylem i duchem jest duch Boży. Nie do tego należy dążyć, aby powiedzmy inżynier czy oficer o b o k swego życia zawodowego wiódł d o d a t k o w o życie religijne, lecz o to aby żył życiem jednem, życiem chrześcijańskiego inżyniera czy oficera. Gdyby oni nie uświęcili swego życia i stanowiska, jakie w społeczności ludzkiej zajmują, prawie nic lub bardzo niewiele uświęciliby wogóle. Życia społecznego czy zawodowego chrześcijanin nie może traktować tylko o tyle o ile ono daje okazję do grzechu, lub jako pewnego rodzaju *malum necessarium*, któremu podlegać musimy. Jest to stanowczo niewystarczające i niegodne chrześcijanina. Człowiek nie poto żyje, aby się jakoś przez ludzką społeczność przebić i uniknąć grzechów, lecz poto, aby się u ś w i ę c i ć, t. j. nietylko zdobyć pewne skarby święte, ale siebie i wszystko Bożą miłością przepoić i przebóstwić. Oczywiście powołaniem tem w znaczeniu duchownem kieruje Duch Święty — jednych powoła On do życia zakonnego, innych zostawi na świecie i tam wezwie do wyższej doskonałości — lecz my kapłani nie możemy tym ostatnim zostawiać wrażenia czy przekonania, że na świecie uświęcenie się jest czemś prawie nieosiągalnem. Owszem, ci ludzie świeccy nieraz potrafią z zadziwiającą łatwością wywiązywać się ze swych ludzkich obowiązków, ale stają zwykle niemal bezradni, gdy chodzi o odnalezienie tego, co jest k o n k r e t n ą d l a n i c h w o l ą B o ż ą. Nawet ludzie względnie dobrze religijnie uświadomieni i znający zasady wiary z tą trudnością odnalezienia *hic et nunc* woli Bożej rady sobie zwykle dać nie mogą. Rozwiązuje się ją wówczas zazwyczaj połowicznie: unikaniem tego, co przedstawia się oczom jako tej woli Bożej negacja, grzech.

Rola kierownictwa duchownego w tej doskonałości.

Oto — zdaje nam się — punkt, na którym rozbija się u ludzi świeckich dążność ku doskonałości, której oni szczerze pragną: nie widzą jasno i pewnie konkretnej odnośnie do siebie woli Bożej! Nieraz oni spoglądają z szlachetną zazdrością na życie w zakonie, które tę konkretną wolę Bożą względnie blisko określa, co u nich jest dla wielu względów nieosiągalnem — życie w świecie wydaje się im przeto upośledzonem i w dużej mierze bezowocnem.

Ta tak wielka i często nieprzezwyciężona trudność odnalezienia konkretnej woli Bożej w szczególniejszy sposób uwypukla rolę kierownictwa duchownego w życiu doskonalszem ludzi świeckich. Jest to, sądzimy, pierwsza wytyczna w poszukiwaniu nowej formy doskonałości dla ludzi świeckich. Stanowi ona jakby odszukanie pierwszej niewiadomej złożonego zadania. Istotnie, to cośmy nieśmiało nazwali stanem doskonałości nie wydaje się czemś nieosiągalnem w związku małżeńskim, ani nie wymaga koniecznie faktycznego ubóstwa, lecz koniecznie wymaga bezwzględnego i pozytywnego uzależnienia się od woli Bożej. W tym oto punkcie społecznego realizowania ewangelicznej rady posłuszeństwa ten nowy »stan doskonałości« schodziłby się ze stanem doskonałości zakonnej, a odbiegałby od niego znacznie na punkcie rady ubóstwa i czystości. Oczywiście, mówiąc o realizowaniu rady posłuszeństwa przez poddanie się kierownictwu duchownemu, nie chcemy przez to powiedzieć, że każde kierownictwo duchowne musi zawierać koniecznie ścisłe posłuszeństwo wobec człowieka — wskazujemy tylko na element, który kierownictwo duchowne w poszukiwanym »stanie doskonałości« przybrać może, a w pewnym zakresie przybrać powinno.

I nietylko te względy zaczerpnięte z ogólniejszych potrzeb współczesnego chrześcijaństwa stawią w szczególnem świetle rolę kierownictwa duchownego. Czyni to zarówno rozum jak i samo życie. Jakże często ludzi szczerze pragnących doskonałości trapi troska: *hominem non habeo.* Pragną szczerego otwarcia sumienia i duszy przed kimś — wyznanie grzechów im nie wystarcza, ani nawet jakaś rada czy ogólna wskazówka co do ich unikania. Mimo nawet dobrze odprawiane spowiedzi

oni czują, że w nich coś jakby drętwieje, coś jest zatamowane — są w ich wnętrzu uśpione energje, których oni rozwinąć nie umieją i czekające na życiowe rozwiązanie problemy, których zrozumieć i rozwikłać nie są w stanie. Dlatego życie ich wyczerpuje się często na bezowocnych wysiłkach — czasem nie mogą oni dostrzec źródeł tej bezowocności a niekiedy poprostu nie śmieją wyrazić tego, co poczęści czują. Przeważnie nie chodzi im jeszcze o autorytet, ani o poddanie pod kierownictwo całego życia — te rzeczy przyjdą później — narazie szukają światła i rozeznania Bożej drogi i woli.

Człowiek dzisiejszy — już konstytucyjnie i psychicznie słabszy od swych przodków — przechodzi różne nastroje i jakby aury życia wewnętrznego, wobec których tylko z trudem potrafi się należycie nastawiać. Zczasem zaś niemal zupełnie zmienia się klimat ducha, którym oddychamy. Przez umysłowość przechodzą różne prądy, drażnią ją różne nurty i rozrywają sprzeczne dążenia. Nawet dobra książka nie wniesie do niej dosyć światła i pokoju, człowiek czeka, aby mu ktoś podał konkretnie ten plan Boży, któryby niejako pasował i przystawał do konturów rzeczywistych jego życia. I to tem więcej, że człowiekowi chodzi o taki kierunek myślowy, któryby mógł właściwie nastawić do Bożej rzeczywistości jego wolę i duszę. My wiemy dobrze, że Opatrzność Boska nawet czysto naturalna nie jest jakaś ogólna, lecz całkiem szczegółowa i osobista, a tem więcej jest nią ta Opatrzność nadprzyrodzona, która jedynie dziś istnieje. Wszak Pan Bóg ma wobec każdej osoby ludzkiej pewien plan, wprawdzie tak giętki i elastyczny, że go nawet jej grzech całkiem nie zaburzy, ale plan ściśle w każdej chwili określony, który bierze człowieka takim, jakim on jest i tam, gdzie jest. W każdej chwili swego życia człowiek jest niejako w pewnym punkcie linji topograficznej, której dalszy bieg w terenie jest przez plan ściśle określony, lubo nieraz plan ten wykreśla kilka biegów i zostawia ich wybór do woli człowiekowi.

Oto czemu ludzie, którzy nie chcą naoślep błądzić w terenie życia, lecz posuwać się w nim wedle Bożego planu oglądają się często i usilnie za znającym teren i umiejącym odczytywać plan Boży, przewodnikiem. Od tych to właśnie ludzi słyszy się nieraz skargi i żale, że podobnych przewodników-kapłanów

rzadko się spotyka — oni tych konturów w planie Bożym nie chcą czy nie mogą odnaleźć, na pytanie o drogę, odpowiadają raczej ogólnie i wymijająco, bojąc się widocznie choćby zlekka naszkicować Bożej trasy w terenie życia. Ktoś nawet z bolesną szczerością przyzna, że usiłował otworzyć wszelkie tajniki swej duszy i sumienia, lecz wkroczono w nie brutalnie jakby »z butami«. »Ks. prefekt zdeptał mi sumienie i zamknął je na wpływy Boże« — brzmi nam jeszcze w uszach smutne wyznanie młodej duszy, która dlatego zerwała z Kościołem i z Bogiem. Istotnie, kryzysy wiary, które wielu przechodzi w wieku szkolnym, wypadną szczęśliwie lub nieszczęśliwie w dużej zależności od tego, czy znajdą oni w swym ks. prefekcie dobrego przewodnika.

Przedmiot i istota kierownictwa.

Czegóż się ludzie po tem kierownictwie spodziewają? Co ono winno im dawać? Kierownictwo duchowne można krótko nazwać s t a ł e m o ś w i e c a n i e m c z y j e j ś d r o g i d o d o s k o n a ł o ś c i i p o b u d z a n i e m g o k u n i e j. Wyjaśnia ono zamiary Boże, rozwiązuje wątpliwości co do nich, rozwiewa błędy i skrzywienia pojęć oraz pobudza i umacnia wolę do ochoczego pójścia za wezwaniem Bożej woli i natchnieniem Ducha Św. Już sam fakt, że możemy szczerze porozmawiać o swych tęsknotach ku ideałom, o próbach i upadkach, o winach i rozczarowaniach, o walce i zwątpieniu — z kimś życzliwym, który nas wysłucha i zrozumie, ma jakąś szczególną dla nas siłę. Po kierowniku spodziewamy się poczęści tego, o co modlimy się do Kierownika *par excellence*, którego on jest narzędziem: *Veni lumen cordium... flecte quod est rigidum* — porusz i orzeźwij duszę, co zapadła w odrętwienie i sztywną surowość, *fove quod est frigidum* — roznieć ogień w sercu, które otoczyły zimna nieczułość i bezwład samolubstwa, *rege quod est devium* — prostuj zagięcia duszy, rozwikłaj splątane węzły umysłu,... abyśmy mogli *recta sapere et consolatione semper gaudere.* Należy przytem pamiętać, że modlitwa i praktyki pobożne nie są jedynym przedmiotem, co do którego ludzie szukają światła u kierownika, są niem również obowiązki stanu, prace, studja, zachowanie się w życiu rodzinnem, społecznem czy obywatelskiem. Odchodzą oni wielce umocnieni i zadowoleni, gdy

w tych obowiązkach szarego życia umiano im pokazać najszczerszą wolę Bożą.

Nie będziemy się tu szerzej rozwodzić o potrzebie kierownictwa, gdyż zamierzamy o tem pisać w jednym z najbliższych numerów mies. *Sodalis Marianus* — przedmiot ten ma bowiem większą wagę dla kierowanych niż dla kierowników. Jest to rzecz zresztą oczywista, że do postępowania w prawdziwej doskonałości koniecznem jest kierownictwo duchowne — pod tym względem niema żadnej różnicy zdań między pisarzami z dziedziny ascezy i mistyki. »Mieć kierownika to połowa wygranej na drodze duchownej« stwierdza zgodnie z tradycją O. Faber. Pragniemy natomiast większą zwrócić uwagę na zalety i obowiązki kierownika.

Zalety kierownika.

Za kierownika w normalnych warunkach uchodzić może tylko kapłan, jako znający teologicznie cały świat nadprzyrodzony. W pewnej mierze kierownikiem duchownym musi być prawie każdy kapłan. A św. Alfons Liguori, mówiąc o obowiązkach spowiednika, za jedno z głównych jego zadań uważa kierownictwo dusz pobożnych. Jakich więc zalet domaga się zazwyczaj od kierownika?

Musi on być kapłanem ś w i a t ł y m. Kierownictwo każde wymaga od przewodnika znajomości dróg, inaczej niejako ślepy prowadziłby ślepych. Kapłan-kierownik musi mieć wiedzę teoretyczną i praktyczną znajomość życia wewnętrznego. Teoretycznie winien on znać ascezę, bo same podręczniki teologji moralnej czy nawet pastoralnej nie wystarczą. Musi on również znać praktycznie to życie, bez czego często wogóle nie zrozumiałby co do niego mówią, a rad duchownych przecież wedle własnego widzimisię dawać nie wolno. Winien przynajmniej w wypadkach zwyczajnych życia duchownego umieć dać odpowiedź i musi umieć wątpić w wypadkach nadzwyczajnych. Musi on umieć »wszystkiego nie wiedzieć«, aby sam mógł rzecz bliżej badać i innych o radę pytać. Oprócz tego musi on posiadać roztropność życiową i nadprzyrodzoną oraz doświadczenie. Arystoteles pyta się, czemu młody człowiek może być dobrym matematykiem, a nie jest zwykle dobrym doradcą. »Ponieważ — odpowiada on — matematyka jest nauką abstrakcyjną, do

której wystarczy inteligencja, roztropność zaś wymaga ponadto doświadczenia, które tylko jakaś szczególnie oryginalna intuicja potrafi zastąpić«. Ta zaleta jest dla kierownictwa podstawową; toteż św. Teresa mówi, że gdyby musiała wybierać między kierownikiem światłym a pobożnym, to wybrałaby raczej światłego.

Musi on być kapłanem p o b o ż n y m. Kierownik do doskonałości winien sam ją szczerze praktykować, boć owe rzekome jej posiadanie *na eksport* tu nie wystarczy. Życie rodzi się tylko z życia. Rozdźwięk zaś między zasadami wiary a życiem kierownika niezmiernie osłabia, jeśli wprost nie kończy jego roli. Będzie on przytem nieraz szkodzić duszom i gorszyć je zamiast budować. Niejednokrotnie kapłan taki nawet nie zrozumie o czem mu się mówi, gdyż nie przeżył on sam tych rzeczy lub im podobnych. A w każdym razie brakować mu będzie siły, ciepła i szczerości oraz zwykle — światła z góry.

Winien on być kapłanem g o r l i w y m. Kierownictwo tylko takiego kapłana będzie naprawdę stałe, wytrwałe, twórcze oraz pełne niewyczerpanej nieraz wynalazczości. Płynąca z duszpasterskiej życzliwości dla dusz, chęć znalezienia światła i rady bywa niepokonalna i owocna a przytem ujmuje ona serce kierowanego, bo jest ona dlań dowodem, że jego dusza jest czemś interesującem i cennem oraz zajmuje się nią szczerze i z oddaniem się. Taki kierownik względnie łatwo uzyska zgodę na rzeczy nieraz naprawdę trudne. To są główne przymioty, które — wedle zgodnego zdania autorów — winny cechować dobrego kierownika.

Gdy zaś chodzi o kierownictwo ludzi świeckich, tak pojęte jak to wyżej zaznaczyliśmy, chętnie dodalibyśmy ponadto gruntowną znajomość życia ludzi świeckich i psychiki przynajmniej tej kategorji ludzi, do której zalicza się osoba kierowana. Wymaganie to, lubo pod pewnym względem jest nowe, wydaje się nam wcale uzasadnione. Przecież kierowanie ministra, generała, dyplomaty, doktora czy inżyniera wymaga niepomiernie więcej niż kierowanie zakonnika, stojącego na wysokim nawet stopniu doskonałości. Takie kierownictwo żąda znajomości tych osób i sfer, w których się życie ich obraca. Skoro zaś weźmie się pod uwagę to, na co już wyżej kładliśmy

silny nacisk, mianowicie, że nie chodzi o tworzenie u tych ludzi jakichś dodatkowych nadbudówek czy ogródków pobożności, którychby strzec mieli kierownicy, lecz o przesycenie duchem wiary i woli Bożej całego ich życia takiego, jakiem ono konkretnie się przedstawia — wówczas się okaże, że do ich kierowania potrzeba wielkiej rozległości myśli, szerokiego poznania dróg duchownych oraz dużej elastyczności i bogactwa ewentualnych rozwiązań. Doskonałość bowiem zakonna ma pewne uproszczenia i pewne dane zgóry ramy oraz zawiera się w obrębie życia potocznego bardziej jednolitego, gdy tymczasem u człowieka świeckiego należy niemal w całości odszukać ten plan Boży, swoisty i więcej oryginalny, aby móc stwarzać te syntezy wiary i życia jakie Duch Św. każdemu z ludzi wytycza.

Wymagania więc, jakie stawia się kierownikom, są rzeczywiście ogromne — rozwój zaś Akcji Katolickiej i intensywniejszy ruch wśród elity katolickiej za doskonałością będzie je tylko powiększał — przeto nie każdy kapłan może im odpowiedzieć. Dlatego to błog. Jan Awila mówi o kierowniku: »Wybierz jednego z tysiąca«, a św. Franciszek Salezy dodaje: »jednego z dziesięciu tysięcy«. My jednak ufamy głęboko, że pośród dzisiejszego duchowieństwa jest stosunkowo więcej kapłanów światłych, pobożnych i gorliwych, niż dawniej, tak iż mimo wyższego wymagania będą oni mogli im sprostać i odpowiedzieć.

Obowiązki kierownika.

Kapłan kierujący duszą musi znaleźć czas, by się móc jej udzielać. Starać się on winien słuchać i widzieć, co się w tej duszy dzieje, aby znaleźć dla niej konkretną wolę Bożą, przynajmniej w danej chwili. Przeto, gdy dusza sama zamało się odkrywa, winien delikatnie wyjść z roli słuchacza i umiejętnie stawić jej odpowiednie pytania. Przytem pewne trudniejsze problemy raz napoczęte winny przez dłuższy czas zostawać otwarte, zanim kierownik nie zbierze dosyć danych do ich rozwiązania. Syntezy bowiem życia nie tworzą się *in statu nascendi*. On winien niejako regulować tempo wewnętrznego życia duszy. Gdy ona jest rozproszona i pełna zmiennych poczynań, winien on wnosić w nią pewną stałość, umiarkowanie

i konsekwencję. Przeciwnie, gdy duszy brak inicjatywy, należy jej wzrok zwrócić ku temu, ku czemu Duch Św. ją wzywa i pobudzić ją, aby za głosem Jego poszła ochoczo. Dla duszy kierowanej jako odkupionej krwią Pana Jezusa i jego oblubienicy, winien kierownik żywić szacunek i nadprzyrodzoną życzliwość i przyjaźń — winien pracować nad nią z poświęceniem ale i z gotowością, aby w każdej chwili się usunąć. Tą drogą zdobędzie nawzajem zaufanie osoby kierowanej, gdyż tę nadprzyrodzoną sympatję dla siebie ona rychło odczuje i będzie się starać jej odpowiedzieć przez otwarcie się przed nim z ufnością i bez zastrzeżeń. I Pan Jezus, ten niedościgniony wzór kierownika w tej atmosferze wychowywał swych Apostołów i uczniów — na przyjaciół, nie na sługi. Potrzeba następnie dużo wyrozumiałości, cierpliwości i — że się tak wyrazimy — iście Boskiej długomyślności. Rzeczy nie uprzedzać, ani nie poruszać zanim dojrzeją. Często jedną i tą samą rzecz wypadnie szereg razy podnosić, co czynić należy nie oschle i nerwowo, ale świeżo i niejako z nowem zainteresowaniem. Przytem nie należy oczekiwać i spodziewać się rychło jakichś nadzwyczajnych przewrotów wewnętrznych czy widocznych owoców, gdyż kierownictwo jest działaniem na głębinach i na dalszą niejako metę. Zresztą praca kierownika ma rolę raczej pomocniczą, rola główna przypada Duchowi Św., który współdziała z duszą. Ta myśl, że się jest tylko narzędziem i refleksem światła a nie niem samem, nie powinna nigdy opuszczać kierownika. Ma on być *instrumentum Dei, instrumentum cum Deo coniunctum*, aby mocą Bożą móc wyrabiać *homines docibiles Dei*, dusze samodzielne, wrażliwe na poruszenia Boże i im zupełnie uległe. Kierownik winien nietylko być gotów usunąć się, gdy tego zajdzie potrzeba, ale i stale powinien działać niejako z ukrycia. Na scenie ma zostawać tylko Duch Św. i dusza, której on ma tylko w miarę potrzeby szeptać niejako z za kulis. Właśnie w czasie kontemplacyjnego sam na sam duszy z Bogiem kierownik winien z szacunkiem usunąć się i bronić tylko duszy od złudzeń; i nie należy sądzić, że dziś dusz kontemplatywnych niema. W całem zaś kierownictwie należy duszy zostawić osobistą samodzielność i ludzką swobodę ducha, gdyż ona ponosi za swe czyny pełną odpowiedzialność i zasługę. Osoba kierownika winna być niejako przezroczysta, aby wzrok

osoby kierowanej na nim się nie zatrzymywał, lecz przezeń przeświecał i przenikał ku Panu. Jemu nie wolno nigdy być zaporą czy przegrodą między duszą a Bogiem. Duszy nie wolno narzucać siebie — co byłoby zbrodnią — ale i własnych konceptów i dróg, co byłoby sprzeniewierzeniem się roli sobie zleconej. Dlatego nie może on polegać tylko na własnym sądzie — aby nie ulec pokusie prowadzenia innych po drogach, które sam przeszedł — lecz uciekać się w potrzebie do ludzi światłych i uduchowionych, a nadewszystko uciekać się do Matki Dobrej Rady i Jej prosić o światło Ducha Św. i o dar rady dla siebie jako kierownika.

Pozostałaby jeszcze do omówienia sprawa metody, jaką należy stosować w kierownictwie dusz. Ponieważ jednak jest to kwestja bardziej praktyczna, a my zamierzamy w jednym z najbliższym numerów *Moderatora* poświęcić osobny artykuł kierownictwu duchownemu w Sodalicji, więc będziemy tam mieli sposobność omówić bardziej konkretnie i tę sprawę metody [1]).

---

[1]) W artykule tym będziemy się starali odpowiedzieć na pytanie: Czy i o ile Moderator powinien być kierownikiem duchownym swych sodalisów? Przy tej okazji ośmielamy się zwrócić do czcigodnych księży Moderatorów z prośbą, aby zechcieli podzielić się z nami swemi w tej mierze zapatrywaniami jeszcze przed ukazaniem się następnego numeru naszego organu.

Ks. St. Wawryn T. J.

Wzajemne stosunki parafij i Sodalicyj.

Sprawa ustosunkowania się odpowiedniego Sodalicyj i ich członków do parafij, t. zn. do duszpasterstwa parafjalnego, do potrzeb, prac i ważniejszych zjawisk na terenie parafij, zawsze była pierwszorzędnego znaczenia. To też w rzeczywistości nie można przeoczyć faktu, że Sodalicje zawsze zwracały na ten moment baczną uwagę. Stąd to mamy w dzisiejszych Sodalicjach takie zjawiska, że Sodalicje nie zamykały się w sobie, ale w miarę sił i możności rozwijały pracę charytatywną i apostolską, wedle potrzeb, jakie odczuwano w parafji. A praca ta miała w różnych miejscach różne formy. I to zależało nietylko od dobrej woli Sodalicyj, ale od miejscowych warunków, z któremi się liczono, które tego a nie czego innego wymagały. To zaś jest właśnie najlepszym dowodem na to, jak Sodalicjom zależało na odpowiedniem ustosunkowaniu się do tego, co się nazywa parafją w najszerszem, czy najściślejszem tego słowa znaczeniu.

Drugim niemniej wyraźnym na to dowodem jest pokaźna literatura na temat znaczenia, wpływu i t. p. Sodalicyj na życie parafjalne. Coprawda w naszej literaturze mniej spotykamy takich artykułów, ale bo też, poza Małopolską ruch sodalicyjny jest u nas jeszcze bardzo młody i w Polsce są diecezje, w których Sodalicje są do dziś słabo rozwinięte.

Otóż to właśnie, że u nas za mało się pisało i mówiło na temat stosunku Sodalicyj do parafij, parafjalnego życia i naodwrót, jest powodem ogólnym do poruszenia tego zagadnienia w naszem piśmie. Obok tego jest w obecnych czasach i szczegółowy powód, który tkwi w tem, że wskutek organizowania oficjalnej Akcji Katolickiej, która zasadniczo koncentruje się

i rozwija koło czynnika parafjalnego i hierarchicznego, również i parafje zwróciły uwagę na odpowiednie ustosunkowanie się wzajemne z Sodalicjami i swego życia z ich życiem. Dziś można ten temat tem samem poruszyć, że znamy »Instrukcję« dla pomocniczych stowarzyszeń, która w dużej mierze ułatwia postawienie pewnych wytycznych w naszej sprawie.

Najpierw będzie nam chodziło o to, by ustalić pewne zasady, które obowiązują Sodalicje w ich stosunku do parafij.

Stosunek Sodalicyj do parafij.

Przedewszystkiem Sodalicje muszą sobie jasno zdać z tego sprawę, że parafje są tą rzeczywistością i tym faktem, który sięga początków Kościoła św., że to jest podstawowa i najistotniejsza jego organizacja. Jak w pierwszych latach istnienia chrześcijaństwa wyznawcy Chrystusa skupiali się w Jerozolimie, Tessalonice, Koryncie, Aleksandrji, Antjochji i t. d. koło Apostoła, względnie ustanowionego w danem miejscu przezeń biskupa i za jego pośrednictwem stawali się uczestnikami Bożych łask, brali udział w świętej Ofierze, w jego nauczanie się wsłuchiwali, tak dziś parafja jest tym »kościołem« i na niej ciążą te same obowiązki, parafja ma te same zadania, zaś wszystkie inne organizacje i instytucje religijne są już czemś pochodnem, ściśle mówiąc drugorzędnem, jeżeli nie w swej działalności, to w każdym razie w swem pochodzeniu.

Następnem założeniem w naszej sprawie jest fakt, że członkowie Sodalicyj, jako osoby świeckie, są przedewszystkiem powołane do pracy apostolskiej w znaczeniu hierarchicznem. To, że Sodalicje mają za cel pracę apostolską, jest aż nadto znane nietylko z dziejów Sodalicyj, ale przedewszystkiem z Ustaw Zasadniczych. To zaś, że ta praca nie może być zależna wyłącznie od własnego widzimisię nietylko poszczególnego sodalisa czy sodaliski, ale nawet od całej Sodalicji, to wynika zarówno z natury rzeczy, bo wiadomo przecież, że w prawdziwej organizacji nawet pozytywna robota, ale samowolna, ale nieskoordynowana jest w rzeczywistości dezorganizacją. Wynika to następnie z całkiem pozytywnie wyrażonych wskazówek i roli Stolicy św. Jeżeli zaś Sodalicje mają pozytywnie się ustosunkować w swej pracy apostolskiej do

hierarchji, to muszą przedewszystkiem szukać pozytywnego ustosunkowania się do najbardziej bezpośredniej i najniższej instancji hierarchicznej — do parafji.

Wreszcie to pozytywne ustosunkowanie się do parafji wynika stąd, że Sodalicje jako organizacje kościelne muszą być przeniknięte duchem Kościoła i w duchu kościelnym muszą swych członków wychowywać i doskonalić. Z tego zaś, cośmy wyżej powiedzieli wynika, że duch kościelny i parafjalny to są pojęcia i rzeczywistości nawzajem się przenikające. Dlatego kto ma prawdziwie kościelnego ducha, ten musi zrozumieć walor życia parafjalnego i naodwrót, kto umie korzystać z parafjalnego życia, ten w sobie bogaci ducha kościoła Chrystusowego.

Te prawdy są jasne, przynajmniej *in abstracto*. Nikt też nie śmiałby kwestjonować tego, że tak powinno być, ale napewno wiele można wysunąć wątpliwości, jak ta sprawa *in concreto* może i powinna się ukształtować. Jeżeli zaś chcemy te wątpliwości rozwiązać, to, wychodząc z powyższych założeń, musimy powiedzieć, że jakkolwiek żadna Sodalicja nie ma prawa i nie może swym członkom parafji zastępować, to jednak w wielu wypadkach może i powinna parafję względnie jej pracę uzupełniać. I to jest właściwy sens istnienia Sodalicyj i ich działalności. Wytłumaczmy się.

Jeżeli każda parafja w pewnym sensie jest jakby odzwierciedleniem powszechności Kościoła, przez to, że do parafij należą ludzie najprostsi i powiedzmy najbardziej uczeni, jawnogrzesznicy i osoby mające szczere aspiracje doskonalenia się, a między temi ekstremami są całe gamy mentalności i chrześcijańskiej moralności, to jasną jest rzeczą, że wśród tych wielości znajdą się dusze pokrewne umysłowością i swoją, że tak powiemy, pozycją czy możnością moralną, które potrzebują czegoś więcej, niż otrzymać mogą na parafjalnych nabożeństwach, niż się daje z ambony dla ogółu parafjan. I to »coś więcej« i to powinowactwo dusz, jest racją powstania Sodalicji stanowej, jest racją organizowania jej według stanów. Na terenach większych miast, każda parafja będzie miała pewne jednostki, potrzebujące jeszcze takiej specjalnej opieki duchownej i wtedy jest racja powołania Sodalicji międzyparafjalnej dla pewnego stanu np. nauczycielskiej, akademickiej,

kupieckiej i t. d. W ten sposób znacznie upraszcza się tak ważną pracę, która przez to naturalne rozszerzanie jej poza granice parafji może tem więcej zyskiwać na pogłębieniu.

Ale w tem wszystkiem trzeba uważać na szczegół bardzo ważny, możnaby powiedzieć krytyczny. Jeżeli bowiem tego rodzaju Sodalicje są powołane do dawania czegoś osobliwego, to nie są bynajmniej powołane do dawania tego, co już daje i dać powinna parafja. A jakże nieraz praktycznie trudno nietylko rozróżnić jedno od drugiego, ale bodaj przy zdawaniu sobie sprawy z tej różnicy, zrezygnować ze swej organizacyjnej indywidualności, czy ambicji na rzecz parafji i parafjalnego życia. Jakże łatwo przy takiem nastawieniu o powstanie kolizyj nabożeństw i praktyk religijnych, które stają się kłopotliwe już nietylko dla parafji, ale nawet wprost dla członków Sodalicyj, którzy takie, czy inne funkcje pełnią w parafjalnem życiu. Kolizje te występują szczególnie, gdy członkowie Sodalicyj należą jeszcze do innych organizacyj, lub bractw na terenie parafji. Sytuacja może dojść aż do paradoksu, że wreszcie zatraca się świadomość, co jest ważniejsze, czy sodalicyjne nabożeństwa czy parafjalna uroczystość, że niekiedy ma się wrażenie, iż Sodalicja czyni łaskę parafji rezygnując ze swych praktyk na jej dobro, chociaż zasadniczo możnaby chyba mówić tylko o odwrotnej sytuacji.

Do takich paradoksalnych sytuacyj jednak nie dojdzie, jeżeli Sodalicje będą sobie jasno zdawały sprawę z obowiązku aktywnej i pozytywnej współpracy z parafją. Obowiązek ten zawiera coś więcej, niż to uzupełnienie pracy parafjalnej wobec pewnych jednostek i grup. Chodzi w nim o to, że skoro są ludzie bardziej w pobożności zaawansowani, skoro są organizacje i Sodalicje, rozumiejące głębiej ducha Kościoła i o realizację jego zasad solidniej zabiegające, w takim razie tę ich pozytywną postawę i to wyrobienie powinna odczuć parafja w swej ogólnej pracy dla dobra parafjan. — Sprawie tej można się przyjrzeć: 1. ze stanowiska Sodalicji całej, 2. ze stanowiska sekcyj sodalicyjnych i wreszcie 3. ze stanowiska poszczególnych członków Sodalicji.

Jak chodzi o całą Sodalicję, to przedewszystkiem trzeba w niej wyrabiać i pogłębiać troskę o parafję i to przez odpowiednie referaty, dyskusje, pewne zbiorowe akty, znamionujące

tę organiczną łączność życia sodalicyjnego i parafjalnego. Trzeba koniecznie wzbudzić w Sodalicjach temi bądź innemi sposobami świadomość jakby codziennej solidarności, by tem samem wyrugować jakieś niewłaściwe samopoczucie odrębności.

Następnie potrzeba, by Sodalicja w swych nabożeństwach i innych zbiorowych praktykach uwzględniała życie i nabożeństwa parafjalne, by nie była powodem nietylko jakichś kolizyj, o których wyżej wspomniano, ale by przez swą absencję na wspólnych jakichś uroczystych nabożeństwach nie osłabiała ich. Wszak znaczenie Sodalicji tkwi nie w tem, że ma wiele swych osobliwości, ale w tem, że umie skutecznie współdziałać ze wszystkiemi czynnikami, że umie ku dobru duszy wyzyskać wszystkie momenty życia parafjalnego.

Stąd płynie konieczność żywej współpracy przedewszystkiem z Radą Parafjalną A. K. i to nietylko w sensie formalnym, że przez kogoś Sodalicje są w nich zastąpione i reprezentowane, ale że w nich odgrywają rolę pierwiastka twórczego, organicznego. I na tej platformie A. K. Sodalicje powinny się nietylko stykać, ale żywo i zgodnie współpracować z innemi organizacjami katolickiemi i religijnemi. Ta współpraca powinna się już rozpoczynać, kiedy chodzi o teoretyczne przygotowanie członków Sodalicji do pracy apostolskiej i katolicko-społecznej. Pracować w tej czy innej dziedzinie w sensie propagandowym, rozwinąć skuteczną ofensywę, a choćby nawet dobrą defensywę można tylko przy odpowiedniem uświadomieniu. Wszystko: kwestja społeczna, problem prawa małżeńskiego, życia rodzinnego, prasy katolickiej, walki z pornografją i t. d. wymaga bodaj całych cyklów czy kursów na odpowiednie tematy. I właśnie tego rodzaju kursy można i trzeba organizować wspólnemi siłami. Raz może występować jako aranżerka Sodalicja i zapraszać na nie członków innych organizacyj, drugim razem Sodalicja może korzystać z kursów zainicjowanych przez tę bądź tamtą organizację. Cały sens współpracy tego rodzaju tkwi w tem, by niepotrzebnie nie robiono sobie konkurencji, która sprawia, że niepotrzebnie zatrudnia się odrazu kilku prelegentów w kilku organizacjach i na każdym referacie jest zaledwie znikoma ilość słuchaczy. Jakże daleko w tym względzie jesteśmy jeszcze w naszej kato-

lickiej robocie nietylko od jakiejś idealnej koordynacji wysiłków, ale wprost od racjonalnego postawienia sprawy. — Bywa przecież, że wszystko: rekolekcje, odczyty i t. p. urządza się »na wyścigi«, bez planu i głębszej jakiejś i celowej systematyki.

Ta zasada planowości, celowości i systematyczności musi w Sodalicjach obejmować nietylko prace całej Sodalicji, ale niemniej i prace sekcyjne. W pracy sekcyjnej chodzi o przeprowadzenie specjalnych zadań katolickiej wiary i moralności. Kult eucharystyczny, modlitwa liturgiczna, idea misyjna, propaganda dobrej literatury, dzieła miłosierdzia, chóry kościelne i t. d., to są owe zadania, które powodują przeważnie istnienie sekcyj, biorących od nich swą nazwę. Jednakże często za mało zwraca się na to uwagi, że zadania te stoją przed całą parafją i przed innemi organizacjami, że niektóre z nich są bardziej palące gdy chodzi o całość parafji, że wreszcie analogiczne instytucje już w parafji istnieją i że tworzenie obok nich czegoś odrębnego, nie pomaga a przeciwnie osłabia zbiorowy wysiłek. Wszak bywa, że sekcje misyjne nie mają żadnej łączności z Papieskiem Dziełem Rozkrzewiania Wiary, że Sekcje Eucharystyczne starają się o własne adoracje, podczas gdy wystawiony Chrystus Eucharystyczny w kościele parafjalnym jest niemal całkowicie opuszczony, że Sekcja Miłosierdzia sili się nad tem, co i jak ma robić, a tymczasem Konferencja św. Wincentego cierpi na brak ludzi i t. d.

Ileż naprawdę dobrego mogłyby zdziałać Sodalicje przez swe sekcje, gdyby praca była pomyślana na tej szerszej, parafjalnej podstawie, gdyby się uwzględniało przedewszystkiem realne potrzeby parafji, gdyby się wyszło poza granice jakiegoś zamknięcia w sobie, ekskluzywizmu, czy może samolubstwa organizacyjnego.

Jeżeli Sodalicje przez prace swych sekcyj planowo rozbudowanych mogą oddać parafji nieocenione usługi, to również niemniej mogą służyć skuteczną i wydatną pomocą przez poszczególnych swych członków. Gdyby sodalisi szczerze przejęli się zasadą tak silnie postawioną w ustawach sodalicyjnych, że mają być apostołami sprawy Bożej w swem przedewszystkiem najbliższem otoczeniu a więc w rodzinie, przy warsztacie swej pracy, wszystko jedno czy nim jest kupiecka

lada, czy urzędnicze biurko, czy katedra profesorska, już ich działalność nie pozostałaby napewno bez wpływu na podniesienie się poziomu parafji. Dobre, budujące słowo, rzetelne spełnienie obowiązku, budujący przykład życia prywatnego, podawanie swym najbliższym religijnej książki, pisma i t. p. wszystko to jest nietylko możliwe, ale obowiązujące członków Sodalicyj i wszystko to jest przygotowaniem większym lub mniejszym w budowaniu królestwa Bożego. A jakże często słowo sodalisa może trafić do tego, który unika słowa padającego z ambony... O ileż łatwiej sodalis może się zetknąć ze zbłąkaną owieczką, niż jej urzędowy pasterz. Chodzi tylko o to, by członkowie Sodalicyj zdawali sobie z tego sprawę, że są, że mają być jego pomocnikami, że pracują dla tego zespołu wiernych, który jest ich rodziną duchową — parafją.

Poza tem oczywiście pozostaje ta możliwość, że członków Sodalicyj powołuje się na pewne stanowiska parafjalne A. K. w tym czy innym charakterze. Powołanie takie należy zawsze pojmować jako zaszczyt nietylko dla danego członka, ale i dla Sodalicji. Dlatego w tych wypadkach nie może być mowy o jakiemś wahaniu się, czy danego członka »poświęcić« do tej pracy, ani tem mniej nie można stać na stanowisku, że to jest »strata« dla Sodalicji. Pewnie, że często zrozumiałą jest rzeczą, iż przez oddanie się pracy w A. K. dany członek oddali się może trochę od sodalicyjnej pracy, że nieraz musi opuścić niejedno zebranie. Ale cóż z tego, czy można tem naprawdę się trapić? Czy Sodalicja jest celem sama w sobie, a nie sprawa Boża, Kościół Chrystusowy? Oddalił się od Sodalicji, ale zbliżył się do tego szerzej pojętego dzieła Bożego, niema go na zebraniu, ale jest w pracy po uszy, a to go nietylko usprawiedliwia, ale faktycznie stanowi najgłębszą rację istnienia Sodalicyj i wszystkich jej organizacyjnych i religijnych praktyk.

Gdybyż Sodalicje wszystkie miały to »nieszczęście«, że ich najdzielniejszych członków, rozchwytywano do pracy na szerokich rozłogach pracy parafjalnej, dekanalnej czy parafjalnej, że każdy ich lepiej wyrobiony członek zaraz bywa angażowany do jakiejś ogólnej katolickiej roboty, to najprawdopodobniej tem zdobyłyby sobie najchlubniejsze imię w dziejach swoich i A. K. — Choć i to zrozumiałe, że Sodalicje

będą stale boleśnie odczuwały ten odpływ najdzielniejszych członków ze swego grona, ale nieinaczej jak matka, której dorosłe dzieci idą na wybitne stanowiska i tam są jej najgodniejszą chlubą.

Stosunek parafji do Sodalicji.

Kiedy przychodzimy do przyjrzenia się sprawie z odwrotnego stanowiska, znowu należy wyjść z założeń, które są niewątpliwe i obejmują zarówno istotę Sodalicyj, jak i ich zasadniczą działalność. I tak przedewszystkiem trzeba zrozumieć wogóle sens istnienia i prowadzenia jakiejkolwiek Sodalicji. Sens zaś ten widzimy w dwóch celach istotnych Sodalicjom w wewnętrznem wyrobieniu członków i w ich apostolskiej pracy.

Jeżeli duszpasterz parafji jako zadanie główne na swem stanowisku musi traktować sprawę zapewnienia swoim owieczkom wiecznego zbawienia i owszem doprowadzenie ich do możliwie największej miłości Boga i doskonałości chrześcijańskiej, to w takim razie najważniejszą troską duszpasterza będzie chwycić się najodpowiedniejszych środków i metod pracy, któreby i jego i jemu powierzone dusze wiodły najskuteczniej do tego celu. I tu właśnie występuje sens zakładania i prowadzenia Sodalicyj. Bo chociaż *praedicatio verbi divini*, i wszystkie Sakramenta są temi instytucjami Bożemi, któremi kapłani muszą się posługiwać nieodzownie w swej zbawczej roli i misji, to przy tem wszystkiem zawsze pozostanie kwestja otwarta, jakim sposobem przepowiadać słowo Boże, jaką m e t o d ą najłatwiej i najskuteczniej można niem trafić do dusz, w jaki sposób uprzystępnić im korzystanie z Sakramentów św., jakim sposobem zachęcić je do tęsknoty za doskonałością i konsekwentnego dążenia ku niej. I Kościół św. od wieków za jedną z najskuteczniejszych metod w tym kierunku wskazał na metodę organizacyjną, która w sobie jednoczy w dziwny i prawdziwy sposób pierwiastki zarówno przyrodzone jak i nadprzyrodzone zapewniające skuteczniejsze działanie słowa Bożego, chętniejsze i powszechniejsze korzystanie z różnych instytucyj uświęcających w Kościele. — Wszystko: zakony i bractwa i trzecie zakony i jakiekolwiek zrzeszenia religijne i katolickie miały i mają ten jedynie sens bardzo

głęboki i bardzo skutkami wymowny. Zaś z pośród tych kościelnych i religijnych organizacyj Sodalicje swem kilkuwiekowem istnieniem miały sposobność wykazać, że jako metoda pracy duszpasterskiej doprowadzają nietylko do poważnych, ale niekiedy wprost nadzwyczajnych rezultatów.

Zatem sprawa jest jasna. Jeżeli duszpasterz parafji w swej pracy i trosce i dobro dusz zechce szczerze korzystać z doświadczenia wieków i posługiwać się metodami najskuteczniejszemi, jeżeli w swem głębokiem przeświadczeniu rozumie, że prowadzenie umiejętne Sodalicji jest tą wypróbowaną metodą, to nietylko będzie widział rację do jej założenia w swej parafji, ale uczyni też wszystko, da ze siebie wszystko możliwe, aby życie sodalicyjne rozwijało się jak najbujniej. Jeżeli jednak w pojęciu księdza, choćby skądinąd najgorliwszego, Sodalicja jest dlań jednym więcej kłopotem, jedną więcej organizacją, która »zabiera mu drogi czas«, którą dla tradycji, czy jakiegokolwiek mniej lub więcej ludzkiego względu w swej parafji toleruje, ale w cichości duszy uważa za balast, przeżytek, czy jak tam jeszcze powiedzieć można i czasem się niestety mówi o Sodalicjach, to wszystkie najefektowniejsze rady i wskazania do odpowiedniego ułożenia stosunku między parafją a Sodalicją będą tylko banalnem ale prawdziwem przelewaniem z pustego w próżne. Jeżeli proboszcz nie ma tego najgłębszego przekonania, że przez oddanie się sprawie sodalicyjnej może być moralnie pewny o zbawienie tych, którzy do Sodalicji należą, że owszem ich życie jest pewną rekompensatą wobec Boga i parafji za grzeszne życie innych, to rzeczywiście szkoda czasu nietylko na prowadzenie Sodalicji, ale prawdopodobnie szkoda czasu na każde słowo w tym kierunku.

Sprawę stawiamy jasno: życie, istnienie i działalność Sodalicyj na parafji i w parafji zależy od właściwego i jedynie p r a w d z i w e g o u j ę c i a ich racji i celu istnienia, który faktycznie pokrywa się z racją i celem istnienia proboszcza w parafji.

Ale niekiedy słusznie możnaby powiedzieć, że wobec rozległości i liczebności parafji, wobec przerażającego mnóstwa różnych proboszczowskich obowiązków, których celem więcej lub mniej bezpośrednim jest dobro dusz, dobro to zasadnicze,

aby ratować ich od wiecznej zguby, niepodobna może nawet myśleć o oddaniu się pewnej grupce ludzi, którzy nawet szczerze chcą się doskonalić. Nie czas ratować róże, kiedy lasy płoną.

I to rozumowanie, choć tak na oko wydaje się logiczne, jest niecałkowite i powierzchowne. Im ksiądz na parafji ma więcej roboty, im parafja jest liczniejsza i bardziej rozległa, tem, rzecz prosta, bardziej potrzebuje nietylko odciążenia od jakichś prac zbytecznych i dla pozoru, ale tem bardziej potrzebuje skutecznej i pewnej p o m o c y. Jeżeli tej pomocy nie może się doczekać ani spodziewać ze strony oficjalnego kooperatora, to całą mądrość życia, bodaj całą gorliwość kapłańską okaże w tem, że sobie stworzy, wyrobi potrzebny zastęp pomocników nieurzędowych, ale przeto niemniej cennych. Takimi pomocnikami mogą być tylko osoby, które mają przedewszystkiem niezłomnie dobrą wolę w bronieniu sprawy Bożej, którzy dalej posiadają odpowiednie zrozumienie i znajomość prawd wiary i zasad moralności katolickiej, którzy wreszcie w swem własnem życiu doświadczyli dróg Pańskich i przykładem więcej niż słowem potrafią innych pociągać do Chrystusa. A znowu możemy na podstawie doświadczenia wieków i zasadniczych ustaw Sodalicyj stwierdzić, że celem istnienia i wewnętrznego działania Sodalicyj jest tworzenie tego rodzaju pozytywnych typów katolickich, że celem Sodalicyj jest praca apostolska przedewszystkiem na swym najbliższym, parafjalnym terenie. Dlatego możemy zaryzykować twierdzenie, że jeżeli proboszcz nawet przez Sodalicję, nawet z pośród członków Sodalicji nie zdoła sobie wyrobić tego rodzaju pomocników, to najprawdopodobniej nie rozumiał pracy sodalicyjnej i nie umiał Sodalicji prowadzić a w takim razie wątpić można, czy wogóle da sobie radę z innemi duszami.

Więc znowu konkluzja prosta i pewna. Sodalicję jako szkołę ludzi k a t o l i c k i e g o i a p o s t o l s k i e g o c z y n u w parafjach warto i trzeba prowadzić, Sodalicjom tak pojętym warto i trzeba poświęcić wiele sił i czasu, a praca nad Sodalicjami tak pojęta nie jest rozrzutnością czasu dla dusz kilkudziesięciu, gdy setki giną w opuszczeniu, nie są zbyteczną mitręgą, zbytkownym luksusem.

A dziś każdy duszpasterz musi obrać jakąś drogę, którąby z całą pewnością doszedł do wyrabiania ludzi, do apostolstwa świeckiego. Dziś bowiem wobec opinji Stolicy św., wobec niemal dogmatycznego założenia, że z kapłanami w zbawczej roli mają współpracować laicy, nie wolno kapłanowi nietylko z racji zewnętrznej subordynacji, ale śmiemy twierdzić w sumieniu stać na stanowisku, że bez tej pomocy się obejdzie, że nie potrzebuje pomocy wikarego a tem mniej ludzi świeckich. Jeżeli zaś tą pomocą posługiwać się jest obowiązany, to w równej mierze jest obowiązany do przygotowania swych parafjan do sprawnej współpracy.

Pominiemy tu opinje Stolicy św., które tylokrotnie i tak niedwuznacznie podkreślały i jeden i drugi obowiązek, bo jest to aż nadto znane i tylokrotnie z różnych okazyj powtarzane, ale pozwolimy sobie zwrócić uwagę na najnowszy urzędowy dokument polskiego Episkopatu, na »Instrukcję dla pomocniczych stowarzyszeń i dzieł Akcji Katolickiej w Polsce«. Tu właśnie czytamy, że stowarzyszenia o charakterze brackim i sodalicyjnym mając za cel podstawowy uświęcenie swych członków spełniają w stosunku do apostolstwa działalność przygotowawczą i pomocniczą. Zatem według instrukcji tej, organizacje religijne powinny przygotowywać od wewnątrz osoby, które mają wziąć udział w oficjalnej Akcji Katolickiej.

Nie chcielibyśmy przesadzać, ale wolno nam przypuścić, że faktycznie pomiędzy organizacjami religijnemi i bractwami Sodalicje bodaj najlepiej do tego celu się nadają. I jeśliby ktoś chciał sądzić, że przemawia tu jakaś miłość własna, to możnaby mu przypomnieć opinję Ojca św., którą wyraził całkiem niedwuznacznie i niejeden raz w tym względzie.

Możnaby niemal powiedzieć, że tak, jak dziś duchowieństwo hierarchiczne jest obowiązane do wprowadzenia A. K. w stan rzeczywistości, tak jest obowiązane dbać o rozwój organizacyj religijnych, które najsprawniej przygotowują ludzi do czynnej i hierarchicznie skoordynowanej akcji katolickiej.

A trzeba jeszcze na to zwrócić uwagę, że u nas w Polsce respektowanie i korzystanie z organizacyj religijnych dla celów A. K. jest szczególnie ważne i na długo w każdym razie będzie konieczne, jeżeli A. K. nie będzie miała być tylko *pium desiderium* i papierowym tworem.

Ks. Civardi w swej pracy o A. K. mówi najwyraźniej, że ci, którzy stanowią zasadnicze trzony A. K., a więc członkowie czterech kolumn organizacyjnych A. K., mają być ludźmi wyrobionymi, rozumiejącymi wiarę i Kościół, wraz z jego najaktualniejszemi potrzebami. I trudno myśleć inaczej, bo czyż może za sprawą boską ujmować się czynnie i skutecznie ten, dla którego ona jest obojętna, albo jeszcze gorzej, jeżeli dlań jest obca? A chciejmy sobie szczerze powiedzieć, jak wyglądają te cztery zasadnicze kolumny A. K. Stowarzyszeń Katolickich. Mężów prawie, że niema. Stowarzyszenia Kobiet są trochę liczniejsze, ale nawet pod względem liczebności pozostawiają jeszcze bardzo wiele do życzenia, najliczniejsze Stowarzyszenia Młodzieży są naprawdę wielką chlubą i wielką — ale dotąd tylko nadzieją A. K. Nie chcemy przesadzać, ale trzeźwo patrząc na życie nie możemy pominąć faktu, że te właśnie organizacje doniedawna wybitnie i wyłącznie kulturalno-oświatowe, którym według ostatniej instrukcji z natury rzeczy powinno przypadać ostatnie, trzecie miejsce pośród organizacyj pomocniczych, zaawansowały wolą Najdost. Episkopatu na stanowisko czołowe w zasadniczej konstrukcji A. K. w Polsce. I można im z tego powodu serdecznie gratulować, można doskonale zrozumieć, że jest głęboki sens oparcia tak ważnej sprawy jak A. K. o tak szeroko i sprawnie zorganizowane zespoły, ale równocześnie nie można zapominać o tem, że katolikiem wyrobionym, że gorliwcem w sprawie Bożej nikt się nie staje przez nominację, choćby nawet tak szanowną, jak w tym wypadku, ale przez pracę nad sobą i długą i wszechstronną. I jeżeli nominacja w jednym akcie prawnym zdecydowała stanowisko tych organizacyj w A. K., to niestety nie mogła zdecydować ani o jednym akcie zasługującym ani w jednej duszy tych, co należą do organizacyjnych kolumn A. K. To, co się nazywa zasługą, gorliwością, poświęceniem dla sprawy Bożej, to wszystko musi wypłynąć od wewnątrz tych tysiącznych dusz. A wiemy przecież wszyscy, czem przeważnie zajmowały się te organizacje, zresztą bardzo pożytecznie i musimy przyznać, że od znajomości zasad gier ruchowych i pokojowych, do znajomości potrzeb Kościoła i zdolności zaradzenia im jest jeszcze bardzo daleko.

Niewątpliwie dotychczasowe organizacje posiadają nieprzeciętne walory dla realizowania celów A. K. zarówno w swej liczebności jak i w organizacyjnej technice, niewątpliwie tempo pracy religijnej w tych organizacjach wzrosło i daje piękne wyniki, ale dziś jeszcze potrzebują i długo potrzebować będą wiele sił, któreby wszelkiemi organizacyjnemi metodami podnosiły członków tych organizacyj i całe organizacje na poziomy nieprzeciętnego katolicyzmu i katolickiej doskonałości. Dlatego sądzimy, że dla każdego duszpasterza w obecnej rzeczywistości we wszystkich tych czterech kolumnach nagwałt potrzeba współpracy jednostek, któreby, posiadając głębokie wyrobienie wewnętrzne, umiały pociągać innych przykładem i słowem ku temuż wyrobieniu, któreby w razie potrzeby pomogły przedewszystkiem duszpasterzowi do organizowania tych kolumn wśród starszego społeczeństwa, do wlewania ducha katolickiego między tak liczne szeregi młodych. Stąd zaś wynika nietylko obowiązek Sodalicyj i innych organizacyj religijnych do stawania ochoczego do pracy, ale i obowiązek duszpasterza do prowadzenia takich organizacyj, które za swój pierwszy i zasadniczy obowiązek uważają doskonalenie się i ofiarną apostolską pracę a nie sporty i podniesienie kultury. Temi właśnie organizacjami są między innemi Sodalicje.

Następnem założeniem, które w naszej sprawie należy przyjąć jest to, że jakkolwiek najzupełniej słusznie wedle woli Episkopatu w niejednej parafji trzeba będzie niejedno przeorganizować, aby naprawdę powstała i rozwijała się A. K., to mimo tego, pewnych szczegółów w życiu sodalicyjnem przeorganizować nie można i nie wolno, chyba że z Sodalicji zechce się uczynić coś innego. Zarówno nabożeństwo do Matki Najśw. jak wspólne nabożeństwa i zebrania specjalne sodalicyjne, jak wreszcie dzieła miłosierdzia, pouczanie religijne są taką kanoniczną właściwością sodalicyjną, że usunąć ich nie można, ani statutowo, ani faktycznie, bez naruszenia istotnych cech sodalicyjnego życia.

Ten zaś szczegół podkreślamy między innemi głównie dlatego, że w praktyce bardzo łatwo może powstać nietylko tendencja, ale konieczność odciągnięcia członków Sodalicyj od

tych istotnych praktyk. Jakże łatwo może dojść do takiej sytuacji, że kiedy w danej parafji tworzyć się będzie stowarzyszenie mężczyzn zaangażuje się doń wszystkich, lub choćby tylko znakomitą większość, sodalisów i każe im się w tej organizacji brać udział nietylko w pracach apostolskich, ale we wszystkich zebraniach i praktykach pobożnych, które muszą w tych stowarzyszeniach mieć miejsce, by ten szeroki a przeważnie dość surowy materjał, zaciągany skądinąd do nich, nastroić na czysty i głęboki ton katolicki. Czyż od tych sodalisów można będzie wymagać, by prócz tego brali jeszcze udział w zebraniach i nabożeństwach sodalicyjnych? A jeżeli nie, czy wyobrazić sobie można dobrze rozwijającą się Sodalicję, w której większość członków absentuje się na wspólnych praktykach? Napewno nie! I dlatego trzeba w praktyce bardzo ostrożnie postępować, aby korzystając z sodalicyjnej pomocy A. K. nie podrywać życia samej Sodalicji, bo toby było podcinać gałąź, na której się siedzi. — Wprawdzie niekiedy padają głosy, że skoro rozwinie się A. K., to wszystkie religijne organizacje, a między niemi i Sodalicje okażą się zbytecznemi i można je będzie całkiem śmiało w zupełności zlikwidować, ale takiemi opinjami nie można się ani gorszyć, ani przejmować, jak się nikt nie przejmuje powiedzeniami, że skoro przez XIX wieków nie było A. K. w dzisiejszej formie, to i teraz bez niej się obejdzie. — Zresztą trzeźwe zastanowienie się nad sytuacją Kościoła, nad różnorodnością tego elementu, który się nazywa wiernymi, nie pozwoli zamknąć całej katolickiej i duchowej pracy ani wpakować wszystkich najlepszych katolików w cztery kolumny i koniec. Życie bowiem duchowe nie da się »zgleichschaltować«, a wszelkie tendencje w tym kierunku zemściłyby się nietylko na A. K., ale na samym polskim katolicyzmie.

Dlatego można i trzeba w życiowej praktyce, w każdej parafji, zasadę, wyrażoną w 23 ustępie »Instrukcji« o organizacjach pomocniczych, że »ich istnienie w parafjach nie może być powodem do niezakładania oddziałów Katolickich Stowarzyszeń Mężów, Kobiet, Młodzieży Męskiej i Żeńskiej« odwrócić i powiedzieć, że istnienie tych stowarzyszeń nie może być powodem do niezakładania lub likwidowania zrzeszeń czysto religijnych i kościelnych, a przedewszystkiem Sodalicyj.

Można i trzeba, bo sama ta »Instrukcja« w 4 ustępie mówi, że »stosunek tych organizacyj pomocniczych opierać się powinien na zaufaniu, szczerem porozumieniu i zgodnej współpracy«...

Charakter marjański Sodalicji.

Sodalicja nosi na swojem czole wypisane imię Bogarodzicy. Jest stowarzyszeniem marjańskiem, które nietylko pragnie w szczególny sposób szerzyć cześć Marji, ale też oba swoje właściwe cele: uświęcenie własne i pracę apostolską, chce oprzeć o nabożeństwo i miłość ku najświętszej Dziewicy.

Dlaczego jednak — mógłby ktoś zapytać — właśnie stowarzyszenie marjańskie, a nie jakieś inne? Dlaczego nie ma to być stowarzyszenie, skupiające się około Chrystusa, jakaś — powiedzmy — Sodalicja Serca Jezusowego?

Jak więc należy pojąć właściwie marjański charakter Sodalicji? W jaki sposób wpływa on na ową podwójną działalność Sodalicji? O ile może on stać się podstawą uświęcenia i apostolstwa sodalisów?

Marjański charakter Sodalicji opiera się przedewszystkiem na tej marjologicznej zasadzie, że najświętsza Panna, jako Bogarodzica i nasza Matka z jednej strony jest Pomocą chrześcijan i Pośredniczką wszystkich łask, z drugiej zaś strony jako niepokalanie czysta, wolna od wszelkiego grzechu oraz najbardziej w cnoty i dary łaski ubogacona Służebnica i Matka Jezusa okazuje się dla nas najwspanialszym wzorem naśladowania Chrystusa; a to naśladowania Chrystusa w obu kierunkach: nawewnątrz — w świętości, nazewnątrz — w zbawianiu dusz, w umacnianiu i obronie Kościoła świętego.

Marja przeto bardziej, aniżeli jakikolwiek Święty, dostarcza swoim czcicielom zarówno pomocy jak i przykładu. Choć więc stowarzyszenia pod wezwaniem tego czy owego Świętego są wszelkiej pochwały godne, przecie ani w piękności ani w skuteczności swego wezwania nie może się żadne z nich równać z Sodalicją Marjańską.

Możnaby jednak zapytać: Dlaczego właśnie cześć Marji? Dlaczego nie odrazu i bezpośrednio cześć Chrystusa? Czemu nie miałaby Sodalicja być »chrystocentryczną?«

Otóż, nic wprawdzie nie przeszkadza pozakładać w ten sposób stowarzyszenia, pozostające pod wezwaniem Chrystusa, jakieś — przypuśćmy — stowarzyszenia Serca Jezusowego lub Najśw. Sakramentu na wzór Sodalicji Marjańskiej. Jednak nie dorzuciłyby one, gdy chodzi o istotę oraz krąg zadań Sodalicji Marjańskiej, wiele nowego; każda bowiem Sodalicja Marjańska oczywiście zmierza w ostatecznem swem założeniu do czci i miłości Chrystusa, zatem jest w pełnem znaczeniu organizacją chrystocentryczną. Wszak zarówno komunje generalne jak i sekcje eucharystyczne w Sodalicjach świadczą dostatecznie, że cześć Marji bynajmniej nie stanowi uszczerbku dla czci Chrystusa.

Natomiast przyłącza się w Sodalicji Marjańskiej ponad to, co mogłoby dać stowarzyszenie Najśw. Sakramentu czy Serca Jezusowego, jeszcze coś więcej, co właśnie dla uwielbienia Chrystusa posiada najwyższą i prawie niezastąpioną doniosłość, mianowicie, pomoc Matki Jezusowej w naśladowaniu Chrystusa oraz w wewnętrznem zjednoczeniu się z życiem Boskiego Zbawiciela. Cześć Marji już z siebie jest uwielbieniem Chrystusa, a naśladowanie Marji — naśladowaniem Chrystusa. Wszelako istota i właściwa skuteczność czci Marji wyraża się w tem, że sprawia szczególnie bliskie złączenie duszy z Chrystusem.

Naśladowanie Marji jest niczem innem, jak przyswajaniem sobie Jej miłości i wierności względem Zbawiciela, odtwarzaniem w sobie Jej naśladowania Chrystusa, a więc właściwie jest naśladowaniem samego Chrystusa, jeno w szczególnie pogłębionem znaczeniu. Owa »droga okrężna« przez Marję do Chrystusa, posiada szereg zalet, na które już wymownie wskazywali Ojcowie i wielcy teologowie Kościoła.

Jeżeli Chrystus jest celem naczelnym — *finis ad quem* — całego naszego życia duchownego, to jego celem pośrednim — *finis quo* — jest osiąganie Chrystusa przez służbę, miłość i naśladowanie Go. Zatem jeżeli o co przez wzgląd na Zbawiciela chodzić nam winno, to przedewszystkiem o miłość, naśladowanie i służbę Chrystusową.

Otóż w tem wszystkiem świeci nam Marja najdoskonalszym i najwyższym przykładem: wstępowanie w Jej ślady jest najwyższą szkołą doskonałej służby Chrystusowej. Jeżeli

przedmiotem naszej czci i miłości jest Chrystus, to Marja jest tej czci i miłości najlepszą mistrzynią. Jeśli Chrystus celem, to Marja drogą — takie jest głębokie znaczenie teologiczne wyrażenia: *per Mariam ad Jesum* — przez Marję do Jezusa. Nie chodzi tu o jakieś pobożne, uczuciowe powiedzenie, ale o pewną, teologiczną prawdę. W służbie Jezusowej, w Jego naśladowaniu i miłości, nie może nam przyświecać przykład Zbawiciela: wszakże nie naśladował On siebie, nie służył sobie, ani też siebie nie kochał w tem znaczeniu, o jakie nam chodzi. W szkole naśladowania Chrystusa najwyższą mistrzynią jest Marja.

Inna korzyść tego włączenia czci Marji w uwielbienie Chrystusa pochodzi stąd, że jest Ona nietylko najlepszą nauczycielką i najdoskonalszym wzorem naśladowania Chrystusa, ale też najpewniejszą ostoją i najlepszą Wspomożycielką. Jeżeli teologja nas uczy, że wszystkie łaski spływają na nas przez Marję, to należy przyjąć, że Bóg nietylko chciał Jej współdziałania i pośrednictwa w rozdziale swych łask, ale też pragnął, byśmy je ze swojej strony uznali. Wolą Boga jest, byśmy się ubiegali o Jego łaski za pośrednictwem Marji. Dlatego nabożeństwo marjańskie jest najdoskonalszym sposobem zbliżania się do Boga i zjednywania sobie łask Jego. Przeto więc wypadało, by takie stowarzyszenie gorliwych katolików, zmierzających do uświęcenia własnego i do apostołowania wśród bliźnich, jakiem jest Sodalicja, posiadało charakter marjański [1]).

---

[1]) Głębokie uzasadnienie marjańskiego charakteru Sodalicji, które tu podajemy, wyjęto z dzieła ks. Banghi p. t. *Handbuch für die Leiter Marianischer Kongregationen*. S. 68—72.

Apostolska strategja, która zdała próbę.

W jednym z ostatnich numerów organu sodalicyjnego, została przedstawiona działalność »dzieła propagandystów« w Hiszpanji [1]). Spodziewaliśmy się, iż nie mniej niż sama działalność dzieła, zainteresuje czcigodnych Księży Moderatorów jego organizacja i metoda kierownictwa. Pragniemy przeto podać w paru rysach tę organizację i swoistą metodę, stosowaną przez moderatora O. Ayalę, założyciela tegoż dzieła — następnie wskażemy gdzie i o ile ta metoda mogłaby być stosowana na naszym gruncie polskim.

Stowarzyszenie propagandystów jest dziełem wyrosłem z łona jednej Sodalicji, ale dziś stanowi ono już zupełnie osobną organizację, liczącą około 800 członków, w tem sporą ilość sodalisów. Z tej liczby propagandystów jest 40 posłów do parlamentu na ogólną liczbę 115 z *Accion Popular* Gil Robles'a.

Jest rzeczą uderzającą, że są to ludzie całkiem młodzi, sam Gil Robles, wódz katolicyzmu i zapewne jutrzejszy dyktator Hiszpanji, liczy obecnie 35 lat, inni jego koledzy są przeważnie jeszcze odeń młodsi. Niektórzy z propagandystów jeszcze przed ukończeniem 20 lat stawali na czele organizacyj i dzieł ogólnokrajowych.

Centrem ich Związku jest Madryt, którego środowisko liczy około 100 członków; posiadają oni tam własną kaplicę, bogatą bibljotekę i koło studjów. Naczelnym jego prezesem jest od początku Herrera, który sam zorganizował wszystkie środowiska prowincjonalne, odeń ściśle zależne. Każde jednak z kół podejmuje się prac i dzieł wedle potrzeby prowincji, w szczególności zaś kierują one dziennikami katolickiemi, organizacją prasową, propagandą i ruchem robotniczym.

F o r m a c j a. Środkiem uświadomienia i wyrobienia katolickiego propagandystów są wspomniane wyżej kółka studjów, na których zbierając się raz na tydzień, studjują oni głównie encyklikę *Rerum Novarum* a od kilku lat *Quadragesimo Anno*, przechodząc przytem prawie całą moralność a w pewnej mierze i światopogląd katolicki. Kółkami temi kierują sami prezesi-propagandyści, kaplani zaś są tylko kapelanami i doradcami.

[1]) Por. *Sodalis Marianus*, grudzień 1934, art. p. t.: »Co może dać krajowi jedna Sodalicja?

Związek jest zespołem najbardziej doborowej elity — przyjmuje się tylko jednostki uzdolnione, dzielne i czynne. Kandydatura trwa cały rok. Przyjęcie do związku odbywa się w czasie t. zw. czuwania ze Mszą św. o północy. Kandydat składa wówczas przyrzeczenie, które zwykle przyjmuje miejscowy biskup. Wszyscy propagandyści odprawiają co roku 8-mio dniowe rekolekcje w Loyoli, gdzie odbywa się pod ich koniec zgromadzenie ogólne Związku. Prócz tego mają częste nabożeństwa wspólne i raz na miesiąc jednodniową renowację. Członków łączy nietylko szczera troska o chrześcijańską doskonałość, ale zarazem i nić prawdziwej przyjaźni i solidarności. Ich współżycie przy tak niesłychanej działalności ma coś z atmosfery szczerze zakonnej. W miarę możności starają się oni o wykształcenie teologiczne, dlatego biskupi z całem zaufaniem powierzają im dzieła najpoważniejsze i odpowiedzialne.

Na czem polega metoda O. Ayali w kierownictwie tem dziełem? Sam O. Ayala to człowiek wątłego zdrowia, niezmiernie zrównoważony, cichy i doniedawna jeszcze w samej Hiszpanji prawie nieznany. Mąż Boży! Jako przełożony i wychowawca młodzieży zakonnej, podobnież jako moderator i apostoł propagandystów miał przed oczyma jakby jedną myśl: s k u t e c z n e j i n o w o c z e s n e j p r a c y a p o s t o l s k i e j. Na wstępie dostrzega, że masy porwać się nie zdoła: zwrócił się więc do elity, a dla jej wyrobienia niczego nie żałował. Więcej czasu poświęcał on 12 pierwszym propagatorom niż 800 innym sodalisom. Już wtenczas wyraził się on, że na tę dwunastkę liczy więcej, niż na całe setki innych. Nie pomylił się. Sodalicja madrycka została dzielną Sodalicją, lecz ta dwunastka przygotowala odrodzenie całej Hiszpanji. Sam on kierował chrześcijańskiem ich wyrobieniem, umiał przytem dotknąć najgłębszych warstw duszy tych młodzieńców, a przez swe spokojne słowa rozpalał on w ich sercach jakiś niewytłumaczony entuzjazm. Każdego z nich on osobiście wybierał, w czem był niezwykle surowy i ostrożny. Skoro jednak raz kogoś do tego grona powołał, był już niezmordowany i niewyczerpany w jego kształtowaniu. Stawał się niejako ich ojcem, miał u nich bezgraniczne zaufanie, ale też im bezgranicznie wprost ufał. Sprawdzianem ich wyrobienia była dlań rozbudzona o d p o w i e d z i a l n o ś ć apostolska. Formacja trwała długo, szereg

lat a przytem była naprawdę niełatwa. Skoro jednak O. Ayala uważał ją za wystarczającą, wówczas urządzał on t. zw. k o m p r o m i t a c j ę. Jest to bodaj najgenjalniejsza strona jego metody. Było to pierwsze okazanie się propagandysty nazewnątrz: artykuł, odczyt, mowa czy inny występ publiczny. Wystąpienie to, które zamykało okres pierwszej formacji propagandysty i otwierało apostolską jego przyszłość, musiało się udać. Czyniono wszystko, aby tak było — tak też być musiało. Nietylko rzecz przygotowana musiała być solidna, ale całe wystąpienie winno było być nacechowane energją, entuzjazmem, urokiem i mocą. »Kompromitacja« całkowita! Ale z tą chwilą »skompromitowany« był już dla sprawy katolickiej całem sercem zdobyty i z nią już nierozerwalnie związany. O. Ayala robił jeszcze ostatni krok — syntezę człowieka i dzieła. Tej syntezy on szukał w czasie formacji dla każdego z nich, wkońcu ją jasno i konkretnie wskazywał: »Ta a ta dziedzina jest twojem polem i dziełem, pamiętaj, że ty sam za nią odpowiadasz — nikt inny! Ja zaś zostaję tylko twoim doradcą i przyjacielem«. I brał młody propagandysta jakby z ręki Boga swój los. A te horyzonty, na które wskazywał O. Ayala szczególniej pierwszym propagandystom, to przeważnie dzieła pierwszej wagi i ogólnokrajowe.

Niejedno z tych skierowań wydało się w pierwszej chwili rzeczą wprost fantastyczną, a jednak O. Ayala był nieustępliwy i nieubłagany; w jego realizowaniu wystarczy wspomnieć założenie *El Debate*, prasy prowincjonalnej, organizacji akademickiej, partji katolickiej czy syndykatów robotniczych. Pierwszy taki syndykat sam O. Ayala dziewięć razy zakładał i za każdym razem upadał. Za wygraną jednak nie dał!

Mąż Boży patrzył jasno w przyszłość, jakimś wzrokiem proroczym, niemal nieomylnym.

Czynił on wciąż nowe syntezy młodzieńca i dzieła i między młodzież tę rozdzielił najodpowiedniejsze placówki katolickie w swej ojczyźnie. Kiedy wielki ten organizator składał na nich ogromną odpowiedzialność, inni się gorszyli — on ufał. Atakowano go, że usuwa od kierownictwa duchowieństwo — nie odpowiadał. Gromiono go, że nie nadał swemu dziełu cechy monarchistycznej, jak ze wszystkiem co katolickie czyniono wówczas w Hiszpanji — on milczał. Organizacja propagandy-

stów potężniała — o resztę mniejsza — był spokojnym. Jego wzrok zdawał się widzieć w podziemiach »świetnej« monarchji te żywioły, które się gotowały aby wyjść kiedyś na jej powierzchnię... On znał duchowieństwo i jego słabość, wiedział, że przy odmiennych warunkach ono nie zdoła wiele uczynić na arenie publicznej. Nadewszystko groźnem mu się wydawało to fatalne związanie Kościoła z monarchją. On chciał zachować swój hufiec wolnym od metod ciasnego klerykalizmu — pragnął go widzieć samodzielnym i niezależnym. Że miał on słuszność, dziś osądzić nie jest trudno, ale wówczas wielu uważało jego dzieło za »pomylenie« i utopję. O. Ayala sam raz prywatnie przyznał, że najwięcej cierpiał w swem życiu naskutek niezrozumienia ze strony społeczeństwa katolickiego. Przez długi szereg lat pracował on w ciszy, na ataki nie odpowiadał i w debaty się nie wdawał — nato było poprostu zawcześnie — napróżno było starać się, aby go zrozumiano! Dopiero po 20 latach, gdy przyszła próba ogniowa, pokazało się, że mąż Boży dobrze w przyszłość patrzył, a jego strategja stala się zbawienną.

Nazajutrz po obaleniu monarchji (1931) organ propagandystów *El Debate* podwoił nakład i stał się ośrodkiem nowej orjentacji katolickiej.

Nazajutrz po wypędzeniu zakonu Jezuitów (1932), któremu propagandyści tyle zawdzięczali, *Accion Popular* zdyskredytowała rząd i prawie zmiażdżyła partję głównego winowajcy, Azany.

Nazajutrz po uchwaleniu osławionej ustawy o Zgromadzeniach religijnych (1933) *Accion Popular* staje się w nowych wyborach najpotężniejszą partją w parlamencie, która liczbę mandatów w ciągu 2 lat powiększyła prawie 18-sto krotnie: z 7 w 1931 na 115 w 1933!

W ten sposób w czasie iście ogniowej próby zdobyli propagandyści wpływy, o jakich nikt marzyć nie mógł. Teraz się przekonano, że strategja była genjalna, a dzielni bojownicy — wolni, bez żadnej »kuli u nogi!« O. Ayala, którego plan strategiczny uwieńczyły takie triumfy, pozostał nadal sobą. Wierny swej zasadzie, że kapłani winni raczej wychowywać samodzielnych kierowników dzieł i nimi duchownie kierować a nie dziełami bezpo-

ś r e d n i o, wysunął on naprzód dzieło i jego kierowników, sam zaś pozostał w ciszy jak dawniej. Takie jest jego pragnienie i największą przykrością jaką mu sprawić można, to oświetlać jego rolę w tem opatrznościowem dziele. Istotnie, w samej Hiszpanji jest ona mało znaną. Jeśli myśmy ją »zdradzili«, to uczyniliśmy to dlatego, że nam nie o samo dzieło chodziło, ale głównie o tę rolę duszpasterza — ufamy jednak, że dobry O. Ayala sam by nam tę winę odpuścił, gdyby się o niej dowiedział.

Te wspaniałe owoce osiągnięte na gruncie katolickiej Hiszpanji nasuwają nam jeszcze pewne refleksje; ponieważ zaś nasz organ jest trybuną dla samych moderatorów, myśli te pragniemy wypowiedzieć otwarcie i zostawiamy je do dyskusji czcigodnych Księży Moderatorów. Pewnie, że Polska nie jest Hiszpanją i niebezpieczeństwa, z któremi walczyli propagandyści, nie są temi, z któremi my musimy walczyć w r. 1935 i które nam grożą w latach następnych.

Narazie mamy w kraju względny pokój, wyjąwszy garstkę krzykliwych wolnomyślicieli, formalnej wojny Kościołowi w Polsce nikt, żaden zespół nie wypowiedział. Mogą go tu i ówdzie zaczepić, oszkalować, zadrwić zeń, ale wprost go nie atakują i obecnie zapewne go nie zaatakują. Jednakowoż nie możemy się dać zwieść pozorom pokoju. Wojny niema, to prawda, ale trzeba umieć czytać znaki czasu, aby się przekonać, że żyjemy w czasie, który ją gotuje, który jest pod jej znakiem. Spokój naszych dni, czy nie jest to raczej cisza przed burzą? Ciszę tę przerywa tyle małych i ze siebie nic nie znaczących sygnałów, których zespół jednak jest znaczący i złowrogi. Zespół ten wieszczy niezawodnie wojnę i wskazuje wyraźnie, że kampanja rozpocznie się na terenie ekonomiczno-społecznym.

Fale r a d y k a l i z m u pochłaniają coraz więcej umysłów naszej polskiej inteligencji. Wystarczy zwrócić uwagę na tendencje społeczne *Legjonu Młodych*, dużego odłamu młodzieży uniwersyteckiej i młodej inteligencji. W tych kołach o komuniźmie mówi się często publicznie jako o rzeczy, która jest przekonaniem powszechnem. Marksizm otacza się sympatją jako gwiazdę zbawienia, próbę sowiecką okala się jakby aureolą, rosyjski eksperyment uważa się za »rozwiązanie«.

Z marksowskiego materjalizmu nic prawie nie uroniono, tylko strona religijna jest narazie mniej uaktywniona. A i ci dziś jeszcze z Kościołem otwarcie nie walczą, nawet postawiona zasada rozdziału państwa od Kościoła sprawia im dużo kłopotu, więc czasem ją maskują, czasem cofają. Walkę zaś z prawami Kościoła osłania się mętnem i rozciągliwem pojęciem walki z klerykalizmem. Lecz g r a i d z i e o j u t r o, ktoby to z oczu stracił, ten nic z tego co się dziś dzieje, dobrze nie zrozumie.

Oto pierwszy fakt, który się domaga strategji O. Ayali: cała praca obecna ma być przygotowaniem do potrzeb jutra — i to na polu gdzie się wojna gotuje. Nie trzeba też wiele dowodzić, że odpowiedzialnymi dowódcami w tej rozprawie winni być przedewszystkiem ludzie świeccy.

Następną zasadą dobrej strategji jest znać dobrze swego nieprzyjaciela, nie robić sobie wrogów urojonych, nie kruszyć kopji w obronie byle czego i nie wszczynać walki z pierwszym lepszym, którego się na drodze spotyka. Niewątpliwym wrogiem katolicyzmu jest r a d y k a l i z m. Ale jaki radykalizm? Zaraz na wstępie musimy odróżnić radykalizm doktrynalny i radykalizm postawy. Ten ostatni jest dziś dosyć powszechny i spontaniczny. Jest to objaw psychicznego niezadowolenia ze stanu istniejącego, pewna niecierpliwość oraz gorączkowe niejako żądanie śmiałych a szybkich reform. Rzecz oczywista, nastrojowi temu ulega najłatwiej młodzież. Sprzyja temu jej idealizm, gdyż nawet młody człowiek ale po burżujsku zadowolony, nie jest zdolny do radykalizmu, który wymaga odwagi i gotowości do ofiar. A chyba najbardziej tym nastrojom sprzyja okres kryzysu i bezrobocia. Wszystko to mamy na polskim gruncie — jakże więc się dziwić, że ten gatunek radykalizmu u nas też istnieje. Nawet gorszyć się nim nie trzeba, gdyż ten objaw nie jest jeszcze czemś złem. Mimo mniej lub więcej socjalistyczne frazesy ta postawa nie ma jeszcze nic wspólnego z doktryną marksowską. Mogą się nią posługiwać równie dobrze bolszewicy, faszyści, nacjonaliści czy — katolicy. Niebezpieczeństwo jest w tem, że doktryna Marksa najwięcej na tym odruchu pewnego sprzeciwu i niezadowolenia pasorzytuje i jakby doń przylega. Przeto często młodzieńcowi może się wydawać, że to marksizm jest tą doktryną, której on niewątpli

wie szukał i ku której tęsknił, nieraz mu nawet na myśl nie przyjdzie, aby mogło być inaczej. Radykalizm ten może się stać niebezpieczny, łatwo może się obrócić w narzędzie zniszczenia. Lecz rozumiejmy dobrze — to zależy od tych, co nim kierują. Przecie Mussolini dziś daleki jest od destrukcji, a jednak radykalizmem się posługuje i głosi go dziś równie jak na początku. W tym, jak go sam nazywa, wiecznie żywym radykaliźmie, leży bodaj główna żywotność jego systemu.

Teraz my sami musimy odpowiedzieć na to rozstrzygające pytanie: W tym radykalizmie widzi katolicyzm wroga czy sprzymierzeńca?

Innym jest radykalizm społeczny w sensie doktryny. Lecz i tu powiedzieć, że wszelka doktryna radykalna sprzeciwia się nauce katolickiej, byłoby zbyt wygodnem i naiwnem uproszczeniem sprawy. Głosić dziś konserwatyzm społeczny czy ustrojowy byłoby nietylko stracić wpływ na umysły znacznego odłamu młodego pokolenia i pchnąć je w objęcia komunizmu, ale byłoby to zarazem sprzeniewierzeniem się nauce społecznej Kościoła. Otwórzmy encyklikę *Quadragesimo Anno*. Czy papież Pius XI poto piętnuje niesprawiedliwy rozdział dóbr materjalnych w obecnym stanie, aby ten stan zachować? Czy poto podnosi on z taką mocą prawa człowieka i godność pracy oraz wskazuje na potworne odwrócenie celu gospodarki i produkcji, aby nadal człowiek był jej środkiem a pieniądz celem?

I nietylko chodzi Ojcu św. o napiętnowanie istniejących nadużyć — mówi on wprawdzie o naprawie obyczajów, o zbawiennej roli chrześcijańskiej miłości, lecz szczególny nacisk kładzie na reformę istniejących instytucyj, żąda otwarcie odnowienia porządku społecznego, stawia na czele całego życia gospodarczo-społecznego tak zaniedbaną i zniekształcaną zasadę prawa naturalnego i sprawiedliwości społecznej, poleca stworzenie nowego porządku prawnego oraz nowego ustroju korporacyjnego. A czyż to trzeba nazywać konserwatyzmem? A jest to przecie autentyczna i ostatnia nauka Chrystusowego Kościoła! Katolikom i dziś pragną niektórzy narzucić obronę kapitalizmu, jakgdyby oni nic lepszego nie mieli do czynienia. Musimy jasno oddzielić tę naukę Kościoła od nauki pewnych »zapóźnio-

nych« autorów i od umysłowości pewnych środowisk katolickich.

Dzieją się nieraz rzeczy nie do uwierzenia. Oto jedna z nich. Ojciec św. domaga się odnowienia porządku prawnego przez realizację tak drogiej jego sercu sprawiedliwości społecznej, a oto jeden z najwybitniejszych zresztą uczonych katolickich i już po encyklice wyraża się, że *justitia socialis* to właściwie żadna *justitia*. Ani na chwilę nie wątpimy o dobrej woli tego autora, jednak umysłowość środowiska robi swoje...

Sądzimy, że nasze poglądy społeczne winny ulec dosyć gruntownej rewizji; ona nam może nieraz wykaże, że to, przed czem niejako odruchowo się wzdrygamy jako przed tezą socjalistyczną, jest szczerą nauką Kościoła. Uczynić to można najskuteczniej przez studjum encyklik: *Rerum Novarum* i *Quadragesimo Anno* [1]) — szczególny nacisk należy położyć właśnie na tę ostatnią, gdyż daje ona nietylko rozwiązanie pewnych zagadnień społecznych, ale także całość i pozytywną syntezę nowego ustroju. Przytem nie należy zapominać, że encyklika ta »k a n o n i z o w a ł a«, jak się ktoś wyraził, pełny i rozbudowany system katolicki zwany s o l i d a r y z m e m [2]).

Oto zdaniem naszem płaszczyzna, na której możnaby realizować strategję O. Ayali. Myślimy w pierwszym rzędzie o Sodalicjach akademickich i młodej inteligencji. Polem przygotowawczem i kuźnicą myśli społecznej winne być sekcje, których przedmiotem byłby nowy porządek społeczny, nowy porządek prawny, nowy ustrój oraz cała ta sfera, którą słusznie nazwać można pracą państwowo-twórczą [3]). W miarę czasu możnaby przeprowadzać coraz to ściślejszą selekcję, powiększać wymagania, szczególną troską otoczyć jednostki wybitne; być może, iż zczasem stałoby się koniecznem tworzenie nowych specjalnych instytucyj, lecz niczego nie należy uprzedzać. Poszcze-

---

1) Do encykliki *Quadr. Anno* komentarze napisali: 1. O. Rutten O. P.: *La doctrine sociale de l'Eglise*, 1932. 2. O. von Nell-Breuning S. I.: *Die soziale Enzyklika*, Coln 1932. Ten ostatni jest bezsprzecznie najgłębszy i najbogatszy. Nic dziwnego — autor to czołowy pionier solidaryzmu oraz główny współpracownik Piusa XI — w układaniu tej encykliki. Winien przeto być przetłumaczony na język polski.

2) Por. art.: »Ku przebudowie ustroju społecznego«, *Sodalis Marianus*, 1935, marzec, kwiecień i zapewne maj. Tam rozwijamy bliżej to, czego konieczność tu podkreślamy.

3) Por. Mgr. W. Prawdzic: »Sodalicje a praca państwowo-twórcza«, *Sodalis Marianus*, listopad 1934.

gólne punkty metody O. Ayali: rozbudzenie ambicyj apostolskich, poczucia odpowiedzialności i samodzielności, ryzyko bezwzględnego zaufania, stosowanie »syntez« i »kompromitacyj« byłoby wdzięcznem i odpowiedzialnem polem dla oddanych sprawie Księży Moderatorów. Rachuby i plany strategiczne należałoby roztropnie i stanowczo przeprowadzać, i nie szukać dla nich zawsze »aprobaty« ogółu — to rzecz często daremna. Coby było z dziełem propagandystów, gdyby O. Ayala nie umiał był milczeć i w ciszy pracować! Jakże mógł np. przed r. 1931 wytłumaczyć swym katolickim oponentom, że dobrze jest z monarchją losu związku nie łączyć?

Nieudolne te refleksje i szkice powierzamy duchowi apostolskiemu i doświadczeniu Księży Moderatorów i ufamy, że oni je poprawią i uzupełnią. A ich praca może dać Polsce katolickiej rycerzy i wodza, których dotąd czeka.

Ks. St. Wawryn T. J.

NAUKI I SZKICE

Przemowa na uroczystość Zwiastowania Najśw. Marji Panny.

Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego (Łuk. 1, 38).

Roztropna Panienka z Nazaretu wypytuje pokornie niebieskiego posłańca, poznawszy jednak jasną wolę Bożą, skłania swe czoło i oświadcza: *Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego.* To»*fiat*« Marji z chwili Zwiastowania stało się wyrazem całego Jej życia: o nic Jej nie chodziło, tylko o spełnienie we wszystkiem najświętszej woli Bożej. Syn Jej wyraził się nad studnią Jakóbową, że pokarmem Jego jest pełnić wolę Ojca niebieskiego. Spełnił ją dokładnie. W modlitwie arcykapłańskiej przemawia do Ojca: *Jam wsławił Ciebie na ziemi, wykonałem sprawę, którą mi zleciłeś* (Jan 17, 4), a umierając na krzyżu woła: *Wykonało się* (Jan 19, 30). Matka Najśw. stała się pod tym względem najpodobniejszą do Syna swojego.

Prosta to rzecz: pragnąć we wszystkiem spełnić jak najdokładniej najświętszą wolę Bożą, ale rzecz to niełatwa. Jest bowiem wola Boża i wola Boża. Jest jedna wola Boża istotna, której nie wolno się sprzeciwiać pod grozą grzechu ciężkiego i utraty zbawienia, jest inna wola Boża, której sprzeciw wprowadza w duszę grzech powszedni, oziębienie miłosnych stosunków z Bogiem, a jest jeszcze inna wola Boża, która pobudza do tego, co lepsze, co świętsze, co doskonalsze. Wierzymy, że Najśw. Panna była wolna od wszelkiej winy nietylko pierworodnej, ale i uczynkowej tak ciężkiej jak i powszedniej, owszem oparci na pozdrowieniu anielskiem: *łaskiś pełna*, przekonani

jesteśmy, że ta Matka nasza niebieska była zawsze wierna wszelkim natchnieniom Bożym i rosła wciąż w cnocie i zasłudze. Współdziałanie z Bożą łaską wyniosło Ją ponad wszystkie anielskie chóry i uczyniło Szafarką wszelkich Bożych łask.

Sodalicja Marjańska stawia nam przed oczy ten niezrównany wzór jak najdokładniejszego stosowania się we wszystkiem do najświętszej woli Bożej. Do najświętszej woli Bożej! Bóg nie działa na ślepo, nie działa samowolnie pod wpływem jakichś nieracjonalnych instynktów. Bóg jest Mądrością nieskończoną, Jego Wola kieruje się we wszystkiem zasadami rozumu, cokolwiek Bóg czyni, czemkolwiek zarządza, to nosi na sobie piętno Jego nieskończonej Mądrości i Dobroci. Mówią nam o tem i rozum nasz i wiara. Nikomu nie może być »źle« pod rządami Bożej Opatrzności. Nawet gdyśmy zgrzeszyli i cierpimy za to, nie dzieje się nam krzywda, gra tu rolę, póki żyjemy, nietyle Boża sprawiedliwość i Boże karanie, ile Boża wyrozumiałość i Boże zmiłowanie, byśmy się upamiętali i wrócili na właściwą drogę.

Dlatego to wyznawców Nowego Zakonu powinna cechować głęboka wiara w ojcowskie rządy Boże nad światem, niezachwiana ufność, że pod rządami tej ojcowskiej Bożej Opatrzności niczego im nie zabraknie. *Patrzcie na ptaki powietrzne, patrzcie na lilje polne, jak Ojciec niebieski karmi je, jak je przyodziewa* — zachęca P. Jezus. *Patrzcie na wróble ćwierkające. Ptaszek to pospolity. Zapewniam was jednak, że żaden z nich nie spadnie z dachu bez woli Ojca mego, który jest w niebiesiech.* Przepiękne to słowa Jezusowe, a jeszcze piękniejsze te, które dodaje: *A wyście daleko ważniejsi od tych wróbli. A jeśli trawę polną, która dziś jest, a jutro będzie w piec wrzucona, Bóg tak przyodziewa, jakoż daleko więcej was małej wiary?* (Mat. 23—34). *Miłującym Boga* — jak zapewnia Apostoł — *wszystko obraca się na dobre* (Rzym. 8, 28).

Szczęśliwe dusze, które mają tę żywą wiarę i tę niezachwianą ufność w Bogu! Nic ich nie zachwieje w życiu. Umieją one przyjąć wszystko z ręki Boga, odnosić wszystko do Boga. Atoli i wśród tych dusz jest różnica: j e d n e »poddają się« we wszystkiem woli Bożej, i n n e »zdają się« we wszystkiem na najświętszą wolę Bożą. Pierwsze przyjmą wszystko, co Bóg na nie ześle, — przyjmą z większą czy mniejszą pokorą i uległo-

ścią, — drugie oddają się całkowicie w ręce Boże i mówią: »Czyń ze mną, Boże, co chcesz, bo wiem, że mię miłujesz«. A Bogu podoba się ogromnie to całkowite »zdanie się« na niego, to zupełne »oddanie się« w ręce jego, prowadzące aż na mistyczne wyżyny zjednoczenia miłosnego duszy z Jezusem.

Nie brak takich dusz w naszej marjańskiej organizacji. Oby ich było jak najwięcej! Doroczne rekolekcje, codzienne — choćby krótkie — rozmyślańko i czytanie duchowne, częsta a nawet codzienna Komunja św., czysta intencja w codziennej pracy zawodowej — oto niezawodne środki, prowadzące dusze do coraz głębszego poznania dróg Bożych, do coraz gorętszego umiłowania rządów Bożych. Dusze głębsze prędko się znajdą, prędko się zrozumieją. Tem więcej czysta i święta dusza, szukająca Boga. Ona wyczuwa pod wpływem działalności Ducha Świętego jakby doświadczalnie, że jej nigdzie lepiej nie będzie, jak u Boga, przeto z dziecięcą ufnością oddaje się w ręce Boże, ogląda się we wszystkiem na najświętszą wolę Umiłowanego, stara się spełnić we wszystkiem jego upodobanie jako wierna jego służebnica. I dobrze jej z tem. I nie widzi w tem niewoli ani skrępowania, tylko odczuwa wielką wolność synów Bożych.

Czy i my tego w sobie nie doświadczamy? Dziękujmy za to Najśw. Pannie, która nas tak słodko zbliża do Boga przez swą Sodalicję. Przy jej pomocy i pod jej opieką bądźmy wiernymi sługami, wiernemi służebnicami Boga. Jak dla P. Jezusa, tak i dla nas niech wola Boża będzie codziennym pokarmem, a spełnienie jej dokładne w życiu prawdziwą chlubą naszą i pociechą. Amen.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Im bliżej Jezusa, tem bliżej krzyża.

Wiązanka myśli na uroczystość Matki Boskiej Bolesnej[1]).

Problem cierpienia, jego przyczyny i cele, oto pytanie. które zajmuje nas wszystkich, które ciężkiem brzemieniem kładzie się nam na sercu i duszy. Wiemy, że ostatecznem jego rozwiązaniem, to Syn Boży, cierpiący i umierający na krzyżu. Ale dla nas sodalisów właśnie spojrzenie na Matkę Boleściwą stać się może wielką pomocą, by krzyż nasz nosić nietylko z poddaniem i cierpliwością ale z radością i weselem.

Jeśli rozejrzymy się w życiu i cierpieniach Matki Najśw., to zrobimy dziwne spostrzeżenie, spostrzeżenie na pierwszy rzut oka niezrozumiałe, niepojęte.

I. *Za każdym razem, gdy Matka Najśw. musi podjąć jakiś bardzo przykry kielich goryczy, przejść jakieś bardzo ciężkie doświadczenie, powodem i przyczyną tych cierpień jest właśnie Zbawiciel, jej dziecię najukochańsze.*

1. Przyjrzyjmy się bliżej tej sprawie!

Oto już zaraz w Betleem: Narodzenie w ubogiej stajence, odmowa, jakiej doznają Marja i Józef w gospodzie. Skąd te przykrości? Przyczyną ich Najśw. Dziecina.

Ucieczka do Egiptu! Dlaczego? By Dziecię ratować!

Spotkanie z Symeonem, tak pełne dla Marji boleści. Dlaczego? Bo o jej Dziecię tu chodzi! Droga krzyżowa, Kalwarja. Dlaczego? Jej Syn przyczyną boleści!

Za każdym razem Zbawiciel! Czy to nie dziwna rzecz? — A co jeszcze dziwniejsze:

2. Właśnie dlatego, że tak ściśle złączona była z Chrystusem, spotyka ją tyle cierpienia.

Gdyby Marja nie była Matką Jezusa, tylko jakąkolwiek dziewicą z Nazaretu, to wszystkie te gorycze byłyby ją ominęły. Ale jako Matka Jezusowa wciągnięta jest w krąg życia, a zatem i losów Jezusa, męża boleści, ona Matka Boleściwa. Ledwo znalazła się w pobliżu Jezusa a już rozpoczyna się jej droga krzyżowa.

---

1) Przełożył z *Praesides-Korrespondenz*, roczn. 1935 str. 70, O. M. Piechowski T. J.

Czy to nie bardzo dziwne, że Zbawiciel swej matce za jej miłość macierzyńską, za jej troskę i poświęcenie płaci cierpieniem?

3. A był to nietylko los Marji. Wszyscy Święci, którzy do Jezusa przystąpili bliżej, ściślej się z Nim złączyli, otrzymali większą cząstkę krzyża i cierpienia: Św. Jan Chrzciciel, św. Józef, wszyscy apostołowie! I tak i dzisiaj jest jeszcze: Właśnie ludzi, którzy Zbawicielowi są najbliżsi, prędzej czy później szczególnie ciężkie spotykają krzyże.

4. Można nawet wypowiedzieć to jako ogólne prawidło: Im bliżej Jezusa, tem bliżej krzyża! Gdzie Zbawiciel wchodzi do duszy, tam nie przychodzi sam, tam prędzej czy później krzyż ze sobą przynosi.

5. To już wcale nam się w głowie pomieścić nie chce. Należałoby przecież sądzić, że Bóg przedewszystkiem swych przyjaciół, którzy do Niego się przyznają, zachowa od cierpienia i nieszczęścia. Że postara się, by im się dobrze powodziło. Dlaczego tak często właśnie dobrym, zacnym, uczciwym ludziom tak źle powodzi się na tym świecie? A złym, którzy nie dbają o Boga i przykazania Jego, tym tak często wszystko idzie jak z płatka. Ci mają szczęście i prowadzą życie przyjemne i wygodne! Dlaczego?

II. A jednak, kochani moi sodalisi, gdyby oczy nasze nie były tak bardzo zaćmione, gdybyśmy umieli patrzeć nieco głębiej, to umielibyśmy przyznać: Tak, *właściwie to inaczej wcale być nie może. Właściwie musi tak być!* A nawet należałoby się dziwić, gdyby było inaczej! — Widzę, jak robicie wielkie oczy.

1. Skądże to pochodzi, że tego wcale nie chcemy zrozumieć? Oto stąd, że większość ludzi ma tak bardzo powierzchowne, tak niedostateczne, a nawet fałszywe pojęcie o naszym stosunku do Chrystusa, o naszej łączności z Nim.

2. Czemże bowiem jest chrześcijanin? Oto tem, co ta nazwa oznacza: człowiekiem, który do Chrystusa należy, który Chrystusem żyje. Jest istotą, która swe życie, swą siłę i wszystko, co posiada, czerpie z Chrystusa. To mówi Zbawiciel całkiem jasno i niedwuznacznie: *Jam jest winną macicą — wy latoroślami.* A zatem tak ścisłą jest ta łączność życiowa między nami a Chrystusem, jak między latoroślą a winną macica.

A św. Paweł powtarza to ciągle: Chrystus jest Głową, my Jego członkami.

3. Głowa zaś i członki należą do siebie. Co posiada jedno, to posiada i drugie. Co ma jeden, to otrzyma i drugi. Jak soki w winnej macicy, jak krew w organizmie, tak w życiu nadprzyrodzonem wszystkie łaski i skarby duchowne spływają z Chrystusa-Głowy na nas, członki Jego.

4. Ale nietylko łaski, lecz również i życie Chrystusa, losy jego, przechodzą na członki Jego. A zatem i cierpienia Chrystusa. Jeśli bowiem cierpi Głowa, to z konieczności i członki cierpieć muszą. Wszak Zbawiciel sam powiada: *Jeśli mnie prześladowali, i was prześladować będą.* Tak więc i cierpienie jest niejako strumieniem krwi, strumieniem życia, który z Chrystusa - Głowy spływa na nas, członki Jego, na jednego mniej, na drugiego więcej.

5. Teraz więc już widzicie, że właściwie tak być musi, że inaczej wcale być nie może, jak tylko, że właśnie my chrześcijanie musimy krzyż dźwigać. Brakowałoby też chrześcijaninowi rzeczy niezbędnej, brakłoby mu coś zasadniczego, gdyby nie potrzebował nic cierpieć. Właściwie powinien czuć się nieswój, gdyby żadnej cząstki nie wziął w krzyżu Chrystusowym. Albowiem wtedy musiałby się obawiać, że jego łączność z Głową jest gdzieś zerwana, zniszczona. W tem znaczeniu mówi pewien nowoczesny pedagog niekatolik: »Byłoby to hańbą, być chrześcijaninem a nie być ukrzyżowanym«. (F. W. Förster, Christus und das menschliche Leben, str. 342).

I jeszcze jedna rzecz staje nam się teraz jasną, której przedtem wcale nie mogliśmy zrozumieć: Im ściślejszą jest łączność z Jezusem, im kto jest bliższy Zbawicielowi, tem bardziej krzyż Jezusowy stanie się cząstką jego. Dlatego apostołowie, święci, uczniowie i miłośnicy Jezusa tyle musieli cierpieć. Dlatego to przed wszystkimi innymi Matka Najśw. stała się królową męczenników, bo była tak ściśle złączona z Chrystusem jak nikt inny z ludzi.

III. Oto, Najmilsi w Chrystusie, *chrześcijańskie pojęcie cierpienia!* Jakże teraz wszystko inaczej się przedstawia! Teraz już cierpienie nie straszy nas jako jakiś dziki, okropny potwór, przed którym w natychmiastowej ucieczce szukamy ratunku, o nie, teraz staje przed nami z obliczem spokojnem, promien-

nem i zaprasza nas, jakgdyby chciało powiedzieć: nie potrzebujecie mnie się obawiać, wy dzieci Adama. Jam aniołem światłości, posłem Pana do was. Cierpienie to strumień życia, to strumień krwi z Chrystusa - Głowy, to uczestnictwo w męce Jezusowej.

1. Dlatego też cierpienie niezawsze i nie wyłącznie jest karą. Niektóre i to właśnie pobożne dusze mówią sobie, gdy cierpienie ich nawiedzi: teraz Bóg karze mnie za me grzechy! Już Mu się nie podobam! Opuścił mnie. I poczynają pytać się trwożliwie: Czem na to zasłużyłem? O moi drodzy sodalisi, gdyby tak było, to N. Marja Panna musiałaby być największą grzesznicą. A także i św. Józef i apostołowie i wszyscy święci! O nie! Przeciwnie! Właśnie cierpienie jest znakiem, że Bóg nas »nawiedził«, jak to wyraża serdecznie i głęboko nasz lud wierzący, że Bóg łaskawie i miłościwie zbliżył się do duszy naszej. A im więcej nas nawiedza, tem jest nam bliższym.

2. Tak, cierpienie to wprost *łaska Boża*. Św. Paweł pisze do Filipensów: *Iż wam darowano jest dla Chrystusa, nietylko abyście weń wierzyli, ale iżbyście też dla niego cierpieli* (Filip. 1, 29). Słuchajcie, nie mówi apostoł: iż wam nałożono karę... ani iż wam nałożono obowiązek... ale iż wam darowano jest... czyli iż wam dano tę łaskę!

Dlatego też u niektórych Świętych widzimy formalne pragnienie, świętą tęsknotę i głód cierpienia. Tak np. mówi święty Paweł: *Żebym go (Chrystusa) poznał, i moc zmartwychwstania jego, i społeczność utrapienia jego, przypodobany śmierci jego* (Filip. 3, 10). W krypcie kościoła Karmelitów w Paryżu stoi, oparty o słup kamienny, wysoki krzyż. Napis na nim głosi, że słynny kaznodzieja O. Lacordaire sam zrobił ten krzyż. Pewnego W. Piątku kazał się na przeciąg trzech godzin doń przywiązać, aby lepiej zrozumieć tajemnicę krzyża i mękę Zbawiciela.

3. Cierpienie to *współpraca w zbawczem dziele Chrystusa.* Św. Paweł napisał raz to głębokie zdanie: *Teraz się raduję w cierpieniach za was.* A dlaczego? Bo *wypełniam to, czego niedostawa utrapieniom Chrystusowym, w ciele mojem za ciało jego, które jest Kościół* (Kol. 1, 24). Jak św. Paweł, tak i my możemy Zbawicielowi pomagać w ratowaniu dusz, w wysługiwaniu im łask Bożych, jeśli cierpienia nasze za nie ofiarujemy.

Wszak i Jezus nie odkupił świata przez swe kazania czy swą pracę, lecz przedewszystkiem przez swoje cierpienia.

Jakież to wielkie, piękne powołanie szczególnie dla naszych drogich chorych, i wogóle dla wszystkich, którzy dźwigają ciężar krzyża. Właściwie to najpiękniejsze powołanie, bo to powołanie samego Zbawiciela: przez cierpienie znów ludzi przywieść do Ojca i wprowadzić do ojczyzny niebieskiej.

Wkońcu zwróćmy się raz jeszcze do tej *Mater Dolorosa*, do Matki Boleściwej i do Syna jej. Tak, o mój Jezu, teraz już lepiej rozumiem, dlaczego właśnie Matce Twojej, Matce Twej najukochańszej, tyle dałeś krzyżów i goryczy: bo w oczach Twoich cierpienie to łaska, łaska największa! Amen.

Do pań sodalisek.

(Szkic przemówienia na nabożeństwie).

I znowu upłynął nam rok stary i zaczął się nowy i dziś jesteśmy już w jego pełni. Oddani pracom i zajęciom naszym nie zwracamy prawie uwagi, jak ten czas płynie a z nim płyną i lata naszego życia — jedne jaśniejsze inne na ciemniejsze zabarwione tony światła lub półcieni. — O tyle jesteśmy szczęśliwi, o ile te lata nie mijają nam darmo, o ile kiedyś za nie wynagrodzi nas Bóg.

A chyba to prawda, że jeśli komu, to Dziecku Marji, to wam, łaskawe panie, coście stanęły pod sztandarem Przeczystej Królowej Waszej, lata wasze nie mogą i nie powinny mijać darmo. — Jeśli komu, to wam trzeba kierować łodzią życia choć wśród fal i burz tak, by wkońcu dobić do ostatecznego celu.

A nie możemy się łudzić... Nikomu i żadnej z was łatwo to nie przyjdzie. Niejedna troska pochyli wam czoło. — Niejedno zaboli i może zaboli bardzo. — Jak niejeden może was spotkał, tak niejeden jeszcze czeka was zawód. — Wszak życie, by najszczęśliwsze, to walka! *Bojowaniem jest życie człowieka*, powiedział stary Job. Za nim powtórzyć musi każdy z nas: Walczyć i cierpieć trzeba nam zawsze aż do końca.

A nie wolno nam ani opuszczać rąk, ani rozpaczać ani się buntować. Opancerzyć tylko piersi i uzbroić w oręż dłoń. Nie

w on pancerz i oręż z żelaza czy stali, bo on nie przystoi dłoniom niewieścim, ale oręż ducha — oręż wielkiej Chrystusowej mocy.

I cóż to za oręż? I gdzież go szukać? A gdzież go ma szukać Dziecko Marji, jak nie u tej, która jak najlepsza Matka i Przewodniczka w tej walce was wyprzedziła i tak świetne odniosła zwycięstwo: Niepokalana Pani wasza i świata. Wszakżeż z nią wy, dzieci Marji, szczególniej związane jesteście. — Wierne przyrzeczeniem i ślubowaniem tej Matce waszej złożonem, pod Jej opieką ku niebu żeglujecie, — z przeciwnościami borykacie się. A Ona choć niewidoczna ale wam błogosławi, strzeże od złego i duszy i ciała, wlewa pociechę do serc, a gdy cierpienie zbolałą uciśnie pierś, a w oczach gorzka zabłyśnie łza, to Ona cicho i tę ociera łzę — jak matka — i słodkiej pociechy szepce słowa: Nie bój się — wszakżeś ty dziecię moje — przytul się tylko mocniej do mnie, ja cię obronię i krzywdy zrobić ci nie dam. Patrz na mnie i czyń jak ja. Ułóż życie twoje na wzór mojego, a ja ci pomogę — a z mą pomocą zwyciężysz!

Tak trzeba wam żyć, jak żyła Najśw. Matka.

I cóż to się złożyło na życie Tej, którą naśladować i na pomoc wzywać macie? Życie jej było jakby nieprzerwanym wieńcem, girlandą splecioną z potrójnego kwiecia: z kwiatu modlitwy, z kwiatu moralnych cnót i z kwiatu miłości Jezusowej.

Kwiatu modlitwy. — Jak się modliła ta Najśw. nasza i Boża Matka, wiemy. Co za gorąca musiała być Jej modlitwa, kiedy nią ściągnęła, według wyrażenia Ojców Kościoła, samego Boga do najczystszego łona swego. A jak wielbiła i dziękowała Stwórcy za one cuda, jakie Jej uczynił?! Blisko 2000 lat brzmi ono wspaniałe *Magnificat* ponad światem i do końca świata poruszać i rwać ku Bogu serca ludzkie będzie. Tą modlitwą i prośbą swoją zdołała skłonić Najśw. swego Syna do czynienia cudów, a dziś modlitwą swoją, jak wierzy i uczy Kościół święty, wstawia się za światem i nami w niebie, wyprasza nam łaski, zasłania od kar, skoro zawinimy. Ona jest rękojmią zbawienia według onego zapewnienia Kościoła, stosującego do Niej słowa Objawienia o mądrości: *Kto mnie znajdzie, znajdzie żywot i wyczerpnie zbawienie od Pana.*

Drugi kwiat wplatający się stale w życie Marji, to Jej niezwykłe cnoty. Któż zdoła je wszystkie wymienić? Czyja wymowa mogłaby je godnie przedstawić? Dość powiedzieć, że nie było cnoty, którąby nie zdobiła Tej Królowej cnót wszystkich. Czystością serca dorównała Aniołom, owszem Królową ich się stała. Pokorą, cierpliwością, pobożnością, zgadzaniem się z wolą Bożą przewyższyła wszystkich Świętych. Słowem, stała się po Jezusie Panu wzorem cnót jako Dziewica i Matka.

A cóż godnego możemy powiedzieć o trzecim kwiecie? Jak kochała Jezusa? Jak musiała Go kochać Ona, Najświętsza i Najlepsza Matka, Najświętszego i Najlepszego Syna... Jak Ona czuwała nad Nim, jak troszczyła się o Niego, jak się trapiła, gdy Jej zginął — jak współcierpiała, gdy On cierpiał! Z miłości ku Niemu wkońcu uleciała duszą i ciałem z tej ziemi, by być przy Nim i widoku Jego nie utracić nigdy.

Oto, łaskawe Panie, Dzieci Marji, wasz wzór! Ona Matka Chrystusa a wy dzieci Jej, a więc Jezus wasz brat! Czy pamiętacie o tem zawsze? Czy te trzy kwiaty zdobią tak samo serca wasze i dusze wasze? Czy tym, tak pełnym wdzięku, powiedziałbym kobiecym orężem, zwyciężacie niejako Boga, iż się ku wam miłościwie skłania, a zwalczacie przeszkody na waszej ku Bogu i niebu drodze?!

Modlitwa korna a gorąca, jak wiemy, cuda działa, bo Bóg obiecał, iż gdy Go prosić jak dzieci Ojca będziem, a prośby nasze poprze tak przepotężna wpływem Matka niebiańska, z pewnością nas wysłucha i uczyni wszystko.

Przy modlitwie zaś tak niezbędna praktyka onych cichych, a tak ważnych w życiu każdej dobrej i zacnej chrześcijanki a cóż dopiero Dziecka Marji — cnót: cichości, cierpliwości a pobożności i czystości serca.

Wreszcie gorąca miłość Pana Jezusa i Boga naszego. Wszak w tej miłości szczęście nasze i obecne i przyszłe. Cierpień naszych i bólów nie zrozumie, bo zrozumieć nie zechce albo nie potrafi, nikt. Ale zrozumie Jezus, ten Jezus kochany przez nas! Ten Jezus przyjmowany i przyciskany do serc w Komunji św., słodki, najlepszy przyjaciel i brat!

I mimo życiowych walk, mimo opuszczenia, nie jesteśmy osamotnione, bo On pragnie serc naszych, On pragnie być wam

pociechą w życiu. A przedobra ta nasza Matka chce nam dać to, co ma najdroższego — Swego Jezusa i teraz i na wieczność całą. Amen.

Ks. Wł. Wojtoń T. J.

„Z pod znaku Marji rycerski my huf!..“

(Przemówienie na przyjęcie do Sodalicji int. męskiej).

Lat temu kilkadziesiąt na Kongresie Marjańskim w Lyonie mówca europejskiej sławy w swem przemówieniu do tysiącznej rzeszy mężczyzn odezwał się prowokującem pytaniem: »Czy wy moi panowie, nie ośmieszacie się? Dzisiejsze życie woła o bohaterów, potrzebuje niezłomnej woli mężów, czeka na dzielnych bojowników, a wy na tym kongresie modlicie się jak kobiety i śpiewacie jak dzieci«...

I to, na pierwszy rzut oka palące wstydem pytanie, powinniśmy tobie postawić przy dzisiejszej uroczystości my sodalisi, my wszyscy, a przedewszystkiem wy panowie, którzy w dniu dzisiejszym zaciągacie się w szeregi marjańskie. Przecież, jeżeli dawno przed wojną sytuacja świata, ludzkości i katolicyzmu wymagała ludzi z hartowną wolą, zdolnych do wytężonych walk i do zwycięskich bojów, to chyba tem więcej dziś, kiedy o stosunkach przedwojennych wspomina się z tęsknotą jak o wymarzonych czasach, kiedy to, co było, zwaliło się w gruzy a to, co na tych gruzach powstało, wciąż jeszcze trzeszczy i nową ruiną zagraża. Zmieniły się wszak nietylko granice państw, nietylko rządy, ale zmieniły się i wciąż jeszcze zmianie podlegają najgłębsze zasady życia indywidualnego i społecznego, rodzinnego i państwowego. Widzimy i czujemy, że jak nigdy przedtem szerzy się wokół neopogaństwo ze swemi wyuzdanemi poglądami moralnemi, jak nigdy przedtem bezbożnictwo ogarnęło niemal bezkresne terytorja Rosji i stamtąd przelewa się wysoką falą na Zachód, skąd płyną niemniejsze fale i bezbożnictwa i niemoralności.

Wokół nas woła się głośno, że katolicyzm się przeżył i wobec zalewu zasad antykatolickich nawet wśród dusz wierzących powstaje wątpliwość, zali katolicyzm, zali wiara i zasady Chrystusa, zali Kościół są dość silne, by złu podołać, czy katolicyzm jest na dzisiejsze czasy wystarczający?...

I wobec tych faktów trzeba się spytać, dlaczego zło się szerzy? Odpowiedź krótka i pewna, bo są zagorzali szermierze zła. Dlaczego walą się w gruzy dotychczasowe systemy polityczne i społeczne? Odpowiedź znowu prosta, bo ich wiązania ideowe są za słabe, za płytkie. Dlaczego wobec tego wszystkiego i katolicyzm wydaje się za słaby? Odpowiedź niemniej pewna, bo katolicy w swych przekonaniach katolickich są za słabi.

Nieraz się mówi, że dlatego sprawa katolicka przegrywa, bo katolików jest za mało, bo katolicy za mało mają środków materjalnych, pieniędzy do propagowania idej Chrystusowych. Nieprawda, po stokroć nieprawda. Nie miljarderami byli ci, co w imię Chrystusa wystąpili przeciw całemu systemowi pogaństwa Romy i Grecji, nie w tysiącznych legjonach była siła pierwszych chrześcijan, którzy stanęli przeciwko ówczesnemu jedynemu imperjum Europy i tych co nietylko przetrwali ale przetworzyli dzikie hordy najeźdźców barbarzyńskich w wędrówce ludów. — Jeżeli dziś przez świat przeciąga nawałnica gorsza od onej wędrówki, gorsza, bo obracająca w perzynę nie warowne grody ziemi ale religję, ten najistotniejszy gród ducha, pozostawiającą za sobą tysiące poległych nie ciał, ale dusz, to rzeczywiście jest moment poważny, owszem groźny, moment, o którym najgłębsi myśliciele katoliccy powiadają, że jest wyjątkową okazją do wykazania boskiej mocy katolickich zasad, wobec tragicznej niewystarczalności zasad przeciwnych, stwierdzonej eksperymentalnie.

Nie myślmy jednak wpierw ani o pieniądzu, ani o władzy, ale przedewszystkiem o tem, że dziś potrzeba ludzi, co znają nawskróś naukę Chrystusa, dla których ona stała się najgorętszą potrzebą serca. Potrzeba ludzi, którzy tę naukę w najpowszedniejszym fakcie i w najgłębszych tajnikach duszy przeżywają, którzy w tych przeżyciach doświadczają jej mocy i mocą tą silni idą naprzód pewni zwycięstwa tak dalece, iż nawet w męczeńskiej śmierci potrafią śpiewać pieśń triumfu.

Na naszych oczach dzieją się wypadki, potwierdzające namacalnie, czem są tacy ludzie. Katolik-sodalis, Gil Robles, zdołał przeciwstawić się i zagranicznym miljonom i miejscowemu bezbożnictwu i radykalnemu rządowi, w zrewolucjonizowanej Hiszpanji. Katolik-sodalis, kanclerz Dollfuss, zburzył bastjony radykalnego i bezbożniczego socjalizmu, którego skutki działal-

ności i przykładu odczuwano daleko poza granicami małej Austrji — i u nas. I chociaż zginął na posterunku, jego śmierć stała się zmartwychwstaniem wielu dusz martwych. W tym Wiedniu, w którym doniedawna notowano rokrocznie tysiące występujących z Kościoła katolickiego, i dziesiątki tysięcy nieochrzczonych dzieci, dzisiaj, pod wpływem ducha, czynu i śmierci tego »małego« kanclerza powracają do Kościoła całe zastępy.

Więc i dziś pozostanie faktem, że silni katolicy, tworzą silny katolicyzm i trzeba mocnych katolików, aby katolicyzm był mocą ludzkości.

I my wstępując do Sodalicji, wstępujemy poto, aby z entuzjazmem, dumą i prawdą śpiewać: »Z pod znaku Marji rycerski my huf!« A więc nie poto, by pomnożyć liczbę życiowych indolentów, nie poto, by wzmocnić liczbę biadających i narzekających kobiecych dusz, ale poto, by stać się bojownikami Bożej sprawy, by stać się rycerzami, co wprawdzie nie w kowanych ze stali pancerzach, ale w kowanych wewnętrznem zmaganiem i żarem modlitwy zasadach ukażą niezwyciężoną twierdzę współczesnego katolicyzmu.

Lecz czy nie paradoksalnem wydać się może to, że właśnie ci ludzie, którzy mają aż tak wielkie ambicje, którzy mają się stać rycerzami i bohaterami, chcą do tej miary doróść, chcą do zwycięstwa dojść przez nabożeństwo do Matki Najśw.? Napewno, ale ten paradoks ma swą wymowę dziejowych faktów, których nic zatrzeć nie zdoła. Jeśli zdumiewającą rzeczą jest to, że średniowieczne rycerstwo na wojenne trudy i rycerskie zapasy szło bohatersko natchnione pamięcią nietyle o ziemskiej kobiecie, której ślubowało zdobycie wielkości, ile o Tej, która dla nich była wyrazem wszelkiej najszlachetniejszej kobiecości — o Najśw. Pannie, to jeszcze bardziej zdumieniem może przejąć drugi historyczny szczegół, że wtedy, kiedy dla Kościoła nastały najcięższe dni klęski, wskutek reformacji, zdobywano dla Kościoła dusze, rodziny i całe społeczeństwa tam, gdzie zdobywcami byli prawdziwi czciciele Najśw. Panienki.

Tak jest. Bo choć napozór nabożeństwo to nie ma nic wspólnego z wielkiemi zadaniami chwili, jak nic wspólnego wydaje się nie mieć słaba kobieta z śmiertelnemi zapasami na placu bitwy, to jednak w niem tkwi zadatek zarówno rycerskiej

mocy jak i prawdziwie rycerskiego bohaterstwa i zwycięstwa wśród dzisiejszych niebezpieczeństw i upadku ducha. A sens tej prawdy leży w tem, że nabożeństwo to zawiera cały kompleks prawd i zasad, które — chciałoby się rzec — ze zwierzęcia czynią człowieka, z człowieka czynią katolika, z katolika przeciętnego czynią bohatera — świętego.

Kiedy rzucimy okiem na dzieje kultu marjańskiego, to przekonamy się, że wszystko, co w Kościele św. było wielkie, co było szczególnie uzdolnione, czy bodaj nawet genjalne, wszystko lwią część swych zdolności i najszlachetniejszych uczuć poświęcało Matce Bożej. Jej najgłębsi teologowie poświęcali swe naukowe elukubracje, z jej postaci artystyczne dusze czerpały natchnienie do przecudownych dzieł pendzla i dłóta, jej poeci śpiewali pieśni, jej kompozytorzy tworzyli hymny, jej raduje się i płacze dusza indywidualna i przed nią pada rozełkana zbiorowa dusza szarego ludu, od wieków, przez wieki. Ona jest tą postacią ludzką, tą osobą z pośród całego ludzkiego mrowia, która i godnością i świętością i wpływem u Boga przewyższa wszystko.

Kto chce być wielki, musi pierwej w swej duszy obudzić poczucie, pragnienie, tęsknotę za wielkością. Kto chce być święty, musi w sobie wskrzesić świętości żądzę, wyczuć w sobie zdolność, możność, postawić przed oczy ideał świętości, a z góry spodziewać się pomocy.

Was moi Panowie, ta Przejasna, ta Najświętsza Pani powołuje w szeregi sodalicyjne, Was, specjalnem wybraniem w swej czcigodności chce mieć bliżej siebie i tem wybraniem zapewnia Wam swą pomoc, chodzi o to, byście w niej widzieli ideał a w sobie wyczuli tę godność powołania sodalicyjnego, które zawsze w sobie będzie miało coś z powołania Apostołów przez Chrystusa.

Kto kiedykolwiek wpatrywał się wzrokiem duszy w tę niebiańską postać, ten w niej widzi i podziwia dwa największe przymioty, których Ona jedna jest właścicielką: dziewictwa i macierzyństwa. W tych dwu jej przymiotach skoncentrowała się Jej świętość i godność. W tych dwu przymiotach skoncentrował się w Jej życiu wielkiej świętości sekret, któremu na imię: bezkompromisowa dla sprawy Bożej ofiara.

Kto kiedykolwiek walczył w obronie własnej czystości, choćby myśli, ten zdoła ocenić czem jest blask panieństwa, bijący z tej postaci, ten oceni, ile potrzebuje pomocy do wyzwolin ducha i jego władania nad ciałem. Dziś, kiedy wszystko zasypuje nam oczy brudem zmysłowości, potrzeba nam tem więcej wpatrywania się w te jej dziewicze blaski. Jak Grek w starożytności podziwiając monumentalne dzieła sztuki stawał się mimowoli estetą, tak sodalis, wpatrujący się w Najśw. Pannę będzie wśród brudów człowiekiem czystym. Czystym tęsknotą, jaką w nim wzbudzi Jej czystość, czystym Jej pomocą i czystym swą rycerską postawą na tym terenie i wobec tego wroga, który jest mu najbliższy, przeważnie pierwszy i bodaj ostatni...

A kiedy rzucimy okiem na wszystkie powinności, jakie nam nakłada życie, wiara i Sodalicja, to przekonamy się, że żadna z nich prawie nie obejdzie się bez ofiary, kiedy będzie się miała stać rzeczywistością a tem bardziej doskonałą rzeczywistością. I wtedy znowu postać tej Matki, która powinność swą wypełniła aż do oddania Syna swego na krzyż, musi nas uderzyć i porwać przykładem niezrównanego bohaterstwa i wytrwałości, bohaterstwa, którego miary żadne rycerskie serce nietylko prześcignąć, ale i zgłębić nie jest zdolne.

Tak, w tej niewieściej postaci kryją się wartości, których pragnąć może najbardziej męskie serce. I z tej postaci płyną moce, które i najsłabszych wzmacniają i najmocniejszych zachęcają. Lecz tylko wtedy, kiedy nabożeństwo do Najśw. Panny będzie w nas szczere, prawdziwe. Kiedy słowa naszego sodalicyjnego hymnu: »z pod znaku Marji rycerski my huf«, będą wyrazem nietylko tego fizycznego znaku, sztandaru, ale owego znaku moralnego: bezkompromisowego oddania się sprawie Bożej. Ten znak wtopiony w naszą duszę czyni z nas rycerski huf, ten znak zapomniany postawi nas w szeregu niedołęgów, broń Boże, dezerterów. — Ktoś powiedział, że kto chce, by życie i obowiązki sodalicyjne były dlań gniotącym ciężarem, niech będzie niedbałym sodalisem, kto zaś pragnie w Sodalicji znaleźć nowe siły i niestygnący zapał, niech będzie gorliwym.

Kiedy dziś na waszych piersiach umieszczę symbol sodalicyjnej przynależności, symbol rycerskiego ducha — sodalicyjny

medal, kiedy dziś przed wizerunkiem Matki naszej, klęcząc ślubować będziecie jej wierność, Ona niewątpliwie w swej dobroci wyciągnie nad wami w niewidzialny, ale skuteczny sposób swe błogosławiące ręce, z których na was spłyną przeobfite łaski.

I w tej uroczystej chwili życzyć mi wolno, by łaski te odczuło wasze serce jako źródła siły i pociech, byście życiem doświadczyli, czem jest wierna służba tej naszej Królowej i Pani. Życzyć wam pragnę, byście waszym zapałem pociągnęli innych, którym blask piękna sodalicyjnego życia przysłoniły ich własne zaniedbania, byście swą gorliwością pociągali w nasze szeregi tych, których Ona chce mieć przy sobie przez was. W tej uroczystej chwili życzyć wam wszyscy musimy, byście przez Sodalicję stali się niezłomnymi rycerzami sprawy Bożej i jako tacy mogli powtórzyć u kresu waszego życia Pawłowe słowa: *Potykaniem dobrem potykałem się, zawodum dokonał, wiarę zachowałem, naostatek odłożony mi jest wieniec sprawiedliwości*... Amen.

Matka Dobrej Rady.

(26 kwietnia.)

Człowiek ma się czem w życiu rozczarować.

Jak poranne słońce stają przed nim hen na horyzoncie tęsknoty, rachuby, ideały, które nęcą i czarują jego serce. W zaraniu los je mnoży dowoli, by mieć co później rwać zwolna na strzępy. Czary bywają urocze, ale wiele z nich pryska, ginąc jedne po drugich jak bańka mydlana. Tymczasem przyjdą zawody, mniejsza o to, czy je nazwiemy spaczonem powołaniem, zawiedzioną miłością, zwichniętą karjerą, niedobranem małżeństwem, starganem zdrowiem czy uwikłaniem się w sytuację bez wyjścia... Zawody te przyjdą, choć nie przychodzą one same, człowiek sam — stanąwszy na rozstajnych drogach — wybiera tę drogę, po której później kroczy na ich spotkanie... Pragnął widzieć swe życie płodnem i kwitnącem, a teraz spostrzega jak ono pod ciosami losu kurczy się, strzępi i cofa. Do tego nie potrzeba nawet wielkich

klęsk, ludziom wystarczą nieraz drobiazgi, aby się niemi wyczerpać, zadręczać oraz drażnić i zamęczać innych. Ludzkie wnętrze wtedy się rozstraja, stępia i rozgorycza — nie mamy odwagi spojrzeć za siebie, bo ta przeszłość wygląda jak zdeptana i sponiewierana ziemia. Znękany syn tej ziemi czuje często jakby piekło w obolałej duszy, a nieraz dławi się w oparach grzechu jak chory pod chloroformem, bo sumienie łatwo usypiać się nie pozwala.

Jak gniotąca zmora zaciąży nieraz na piersi człowieczej rozczarowanie, a obok niego zawiśnie jak widmo groza zdradzieckiego jutra, które czyha, by nam zedrzeć zasłonę z twarzy. Rozczarowanie, to więcej osobiste, nie jest jednak jedyne; jako obywateli i chrześcijan spotkają nas inne jeszcze.

Los obywateli w dużej mierze spoczywa w ręku mężów stanu, wodzów i dyplomatów, w znacznym stopniu zależy od ich decyzyj i posunięć. Oni to kierują gospodarką kraju, oni dają ramy ustrojowe, troszczą się o dobrobyt, jedność i bezpieczeństwo państwa. Nas wykołysano pieśnią o wolności, dobrobycie, zgodzie i potędze narodu — nadzieje te wyssaliśmy jakby z piersi matczynych. Tymczasem właśnie dziś gospodarka przechodzi potworny i przedłużający się kryzys. Dotychczasowy ustrój samo życie zdaje się przekreślać i rwać na strzępy. O naszym dobrobycie dziś się wogóle nie mówi — najśmielsi uczeni nie śmieją orzec, co będzie jutro — chodzi głównie o to, aby jakoś przetrwać czasy iście proletarjackiej nieraz nędzy i bezrobocia. Nadobitek rozdzierają dziś naród waśnie klasowe i zacietrzewienia partyjne. O bezpieczeństwie wprawdzie dziś najwięcej mówią dyplomaci i zapewniają uroczyście o »szczerej woli pokoju«, ale to nie przeszkadza, iż właśnie równocześnie pracują gorączkowo, na 3 zmiany fabryki armat czy trujących gazów. Utrzymuje się wszędzie olbrzymie armje, których wyekwipowanie pochłania blisko połowę pozycyj budżetowych. Widmo zaś wojny, które zawisło nad narodami, niesie ze sobą grozę ostatecznego załamania gospodarczego, pomruk rewolucji i czającego się komunizmu. Tak piękna kołysanka urywa się tragicznie — a ideałom obywatelskim zgotował los liczne zawody i rozczarowania.

Chrześcijanin również zawsze wierzy w realizację Królestwa Bożego na ziemi, w zwyciężenie zła przez chrześcijańską

miłość. Tymczasem kto rzucił choćby pobieżnie okiem na kartę świata i dostrzegł, że po 19 przeszło wiekach od narodzenia Chrystusa, 4/5 ludzkości broczy jeszcze w mrokach pogaństwa — ten nie mógł nie odczuć ucisku serca jako przed czemś bolesnem i tajemniczem. A i dziś jakby równolegle do postępu pracy misyjnej wśród tych, co światła Chrystusowego nigdy nie ujrzeli, odżywa pogaństwo w naszych krajach cywilizowanych, rozlega się już nietylko głos: »precz z etyką i Kościołem«, ale wybucha nawet bluźnierczy okrzyk: »precz z Bogiem!« Miłość chrześcijańska rozbija się o egoizm, o splątane lub zatwardziałe serca ludzkie. Nieraz w naszych oczach ktoś z bliskich bierze rozbrat z Kościołem lub z Bogiem, a my jesteśmy wprost bezradni i opadają nam ręce. Czyż nadto widmo wojny, niosąc grozę gospodarczego bankructwa i bolszewizmu, nie zapowiada również ery nowych katakumb?

Kto sam uczynił podobny przegląd mroków i cieni, które przesłaniają jasną stronę życia, ten bez trudu przyzna, że to życie istotnie ma czem człowieka rozczarować. Zresztą rzewny żal za tem co stracone oraz serdeczny niepokój przed tem co nam grozi, choć odmiennym językiem powtórzą nam to samo. I czemu się to dzieje? Czy te zawody to rzecz fatalna, nieuniknioma? Oczywiście, że nie, gdyż wybór dróg, które ku nim wiodą, w znacznej części zależy od wolnej decyzji człowieka. Więc gdy człowiek staje przed rozstrzygnięciem w sprawie własnej czy ogólnej, jakgdyby na rozstaju dróg, czemu się to dzieje, że wybiera tak często właśnie drogi, u których kresu czyha zawód i rozczarowanie? Czy może dlatego, że brak mu dobrej woli? Zapewne, że i to się zdarza, lecz byłoby niesprawiedliwością posądzać wszystkich o przewrotną wolę. Nie, przyczyna leży gdzieindziej — poprostu w czasie wyboru dróg brak ludziom światła i rozeznania, wybierają oni w mrokach, jakby poomacku. Żyjemy w okresie, który cechuje nietylko wielki zamęt i pomieszanie pojęć, ale i jakieś dziwne zamglenie i zaślepienie ludzkiego działania. Gdy człowiek stanie na skrzyżowaniu dróg życia, ogląda się wokół, aby mu ktoś wskazał drogę właściwą, nasłuchuje, aby mu ktoś szepnął, którędy iść należy. Boryka się tak w ciemności do czasu — rozjaśnienia horyzontu są rzadkie — on

musi iść dalej, więc decyduje się pociemku, boć na coś zdecydować się musi.

Słowem, przed decyzją na rozdrożach życia, człowiek ogląda się za tem, co nazywamy dobrą radą. I tę właśnie dobrą radę, którąby nam zaoszczędziła niejednego rozczarowania nielatwo jest znaleźć — dobrych doradców nie często się spotyka, źli sami się znajdą, gdzieś jakby z pod ziemi wyrosną i ofiarują swą »pomoc«. »Ojcze, co mam czynić? — pytało niedawno kapłana dzielne dziewczę, bez środków do życia i szukające naprózno zajęcia — dziś ofiarowano mi 3 miejsca: służyć prawie za bezcen u żydówki, która nie pozwoli mi słuchać w niedzielę Mszy św., zgodzić się do domu publicznego oraz zerwawszy z Kościołem, przystać do Marjawitów, a jutro dadzą mi bilet do Płocka«. Oto, w chwili krytycznej biedna istota tylko takich znajdzie doradców!

Czyż więc znikąd nie zaświta nam potrzebne światło dobrej rady? Któż z nas nie pamięta chwil, kiedy na rozdrożu zasłyszał cichy szept, gdy przez uchyloną zasłonę w skłębione mroki jego wnętrza wpuszczono nieco światła, które nakształt nagłego natchnienia zgóry wskazało mu drogę i wylało tyle pogody na znękaną duszę, iż nie pozostawało jej nic innego, jak tylko biec z radością po wskazanej ścieżce... Dusza poruszona jakby wiosennem tchnieniem, otrząsa się z niepokoju i udręki, rozpręża się w sobie i rozprzestrzenia, bo wzrok, którym teraz patrzy świeży jest i jasny. Czyż w takich chwilach nie mieliśmy niekiedy tej błogiej świadomości, że to Matka niebieska staje na rozstajnych ścieżkach życia, by nam szeptać swym szczególnym akcentem: Oto tędy, kochanie! Głos ten jak woda w gąbkę zapadał głęboko w duszę i zdaje nam się, że i dziś w niej brzmi jeszcze.

W ten sposób na rozwidleniach dróg życia naszego jawi się Nieskalana Dziewica, Matka Dobrej Rady. I czyż my, chrześcijanie, możemy o tem wątpić, że Marja, ta Panna Roztropna, jest naszą Matką Dobrej Rady? Jeśli o Chrystusie mówi prorok Izajasz: *I wynijdzie różdżka z pokolenia Jesse, a kwiat z korzeni jego wyrośnie. I odpocznie na nim Duch Pański, duch mądrości, rozumu, duch rady i mocy, duch umiejętności i pobożności. I napełni go Duch bojaźni Pańskiej...* — to Duch ten napełnił nietylko kwiat, ale nadmiarem

swych darów zalał i tę, z której kwiat ten wyrastał. I na duszę Marji wylał Duch Św. swe siedmiorakie dary, a w szczególności d a r r a d y, czyniąc Ją Matką Dobrej Rady. Boć i jakże mogłoby być inaczej! Czyż Pan obierając Ją na naszą Matkę, mógł Jej odmówić tego, co jest nieodzowne do pełnienia tej macierzyńskiej funkcji? Jakże byłaby naszą Matką, nie mając daru oświecania dróg swym dzieciom, nie mogąc dawać im swych rad? Już za życia na ziemi była Ona Aniołem Opiekuńczym pierwotnego Kościoła i natchnioną doradczynią Apostołów i pasterzy. A i dziś z historji Ona się nie wycofała — ma możność stawać jak świetlany obłok na rozstajnych drogach swych biednych dzieci. Czyż mógł Jej Pan tego odmówić, zwłaszcza, gdy te dzieci kroczą nad przepaścią »po drodze ciernistej?« (Por. obraz Stachiewicza). Pośredniczka między Bogiem a ludźmi jakżeby spełniała tę rolę, gdyby z jednej strony nie orędowała za nami przed Bożym Majestatem, a z drugiej nie szeptała nam rad zbawiennych i nie wiodła do Pana? Ona jest Pośredniczką wszelkich łask — czyż świateł nie umiałaby niecić w sercach dzieci? O nie, to być nie może — Marja jest dobrą Matką co radzi... I nie czyni tego tylko przez zewnętrzne okazje: dobrą książkę, przyjaciela, kapłana, wypadki czy Anioła Stróża, lecz i bezpośrednio przez wewnętrzny promień, co przenika i rozgrzewa duszę, szeptem natchnienia, co wskazuje drogę... Dlatego słusznie może Ona mówić do nas słowami Pisma św.: *Słuchaj synu mój, przyjmij dobrą radę i nie odrzucaj mej rady... bo szczęśliwy człowiek, który mnie słucha.*

Będąc zaś Matką Dobrej Rady, szczególniej w chwilach trudnych, jest Ona szczególniejszą Patronką i Doradczynią chrześcijańskich wodzów i mężów stanu, którym z urzędu przypadają decyzje trudne i brzemienne w następstwa. Rozumieli to dobrze ci, którzy umieli Jej rady szukać i za Jej natchnieniami ufnie i niezmordowanie postępować: św. Joanna d'Arc, Sobieski, Garcia Moreno, Foch, Dollfuss... Kogóż więc dziwić będzie, że największe zwycięstwa chrześcijańskiego oręża są zwycięstwami Marji...

Czemu więc dzisiaj nad chrześcijańskiemi narodami zawisło tyle groźnych chmur, czemu słońce zdaje się krwawo nad nami zachodzić? Czemu to dzisiejszy ustrój rwie się na

strzępy, czemu gospodarka bankrutuje i tak ciężkie są podatki? — czemu waśnie rozdzierają narody i dzielą państwa, czemu grożą im wojny i rewolucje? Przecież to dzieje się w krajach chrześcijańskich — sprawami temi kierują decyzje chrześcijańskich mężów stanu! Czyż nie dzieje się w dużej mierze dla tej samej przyczyny, dla której i pojedyńczy człowiek się męka, rozgorycza, zadręcza i rozczarowuje? Jest to nic innego, jak chroniczne niejako zaślepienie i zamroczenie wzroku w czasie decyzyj, które się mści tak strasznie. Matka Najświętsza nie przestała być Matką Dobrej Rady, lecz któż w decyzjach życia rad Jej dziś słucha? Na czele społeczności ludzkich staje przeważnie »korowód ludzi ślepych«, a choć wyniki rządów są upokarzające, a nieraz wprost potworne, oni ufają tylko swym sądom, jakgdyby inaczej być nie mogło... Zresztą, czy możemy się dziwić dzisiejszym mężom stanu, jeśli nierzadko nawet w umyśle pobożnego katolika błąka się nieśmiała myśl, że dziś stosunki na ziemi tak się powikłały, iż sam Pan Bóg w rachubie się zaplątał i z tym światem rady sobie już dać nie może. Może kiedyś — myślimy — z innymi ludźmi było inaczej, ale dziś świat się już chyba wysunął z Bożych rąk... A w takim razie nie dziw, że Matka Dobrej Rady jest tytułem, który w modlitwie dajemy Marji, ale który w życiu nic prawie nie znaczy...

A obok tych rozdroży, na których stają mężowie stanu, jest mnóstwo innych rozstajów życiowych, przed któremi ludzie stawać muszą. Oto młodzieniec, dziewica stają na rozwidleniu ważnych dróg życia przed wyborem stanu, zawodu, małżonka czy stanowiska. Zdarza się również, iż ktoś z nich staje przed kryzysem wiary, kiedy to horyzont objawienia poczyna się zaciemniać i zdaje się strzępić i pękać cała budowla wiary, w młodości wzniesiona. A dalej jest niezliczona sieć ścieżek krzyżowych, przez które każdego dnia, niemal każdej godziny przechodzimy, kiedy napotykamy na to, co można nazwać *codziennemi paradoksami wiary i życia*. Oto jak — powiedzmy — zachować pokój i pogodę ducha, gdy nas spotkało nieszczęście czy zawód?... jak zachować i okazać życzliwość wobec tego, który mnie skrzywdził?...

Jak zachować się wobec błądzącego czy grzeszącego, aby nie pochwalić ani błędu ani grzechu, a nie stracić szacunku i pewnej sympatji należnych każdemu człowiekowi?... jak należy spełniać praktyki religijne wobec tych, którzy są do nich uprzedzeni lub wprost czują wstręt?... jak postąpić, aby nie razić tych, co się od Kościoła oddalają, zdobyć ich zaufanie i otworzyć ich dusze?... jak pogodzić rodzące się przywiązanie ku osobie z sercem nieskalanie czystem?... jak postąpić, aby zachować delikatność uczuć i wstydliwość wśród tego, co się wokół spotyka, aby przytem nie wpaść w ciągłą bojaźń i pruderję?...

Teorje w tych konkretnych wypadkach na niewiele się przydadzą, tu trzeba jasno widzieć wyjście z rozdroża, by się móc szybko na nie zdecydować.

Któż jest więc tą osobą, która na tych rozdrożach, rozstajach dróg i rozwidleniach ścieżek życia będzie nam gwiazdą przewodnią? Nie kto inny, jeno Marja, Panna Roztropna — Ona poto jest Matką Dobrej Rady, aby na tych skrzyżowaniach dróg być nietylko gwiazdą przewodnią, ale i tą uroczą Matką, w której dłoni znajdzie się ręka błądzącej dzieciny. Marja wskazuje nam nietylko to, co dobre, co pożyteczne i co wiedzie do zbawienia, ale też wśród rzeczy dobrych wskazuje nam to, co lepsze. Jej dobre rady są jak echo rad ewangelicznych i to nietylko tych trzech, które realizują zakony... Ona nam wskaże na łamach Ewangelji te drogie perły, które padły z ust Boskiego Zbawiciela. Uczy Ona nietylko wymijać kałuże i błoto, lecz wiedzie na ścieżki strzelające ku szczytom. Ku tym szczytom porywa ludzi świeckich, których wiąże przyjaźnią i ideałami Chrystusowego odrodzenia społeczności — zaczyn ewangeliczny Jej błogosławioną ręką zadany nie uspokoi się, aż stworzy to, co jutro może nazwiemy »*nowoczesnym zakonem*«. Wszak rada Jej działa nietylko jak żagiew, co wśród nocy oświeca czub łodzi i oznacza kierunek wiosłowania, lecz zarazem jak potężny, świetlany wicher, co naprężając żagle, sam łódź oświeca i unosi. Nagła jak błysk intuicja spadnie na dusze żeglarzy i spłynie na nie moc z wysoka, iż jak harfy za dotknięciem palców mistrza grać poczną. — Na tak dziwnie skłę-

bionych rozdrożach ludzkich jawi się dziś Niepokalana Dziewica, Matka Dobrej Rady — czyż ci, którzy są Jej rycerzami, nie usłuchają Jej głosu, by stanąć na ratunek Jej dzieci, aby im i sobie oszczędzić ogólnych klęsk, gorzkich zawodów i przyziemnych pełzań?

Szukajmy więc wytrwale Jej światła, módlmy się o nie, idźmy za Jej głosem ufnie i niezachwianie jak dzieci oraz prośmy gorąco o Jej wstawiennictwo: Matko Dobrej Rady — módl się za nami!

Ks. St. Wawryn T. J.

Przemowa do Sodalicji Panów.

W przepięknym wierszu p. t. »Bogarodzica« jedna z poetek naszych Marja Konopnicka wkłada w usta Najśw. Matki Boga słowa, zwrócone do ludu polskiego, w szczególności do czcicieli swoich, jakby Królowej do wiernego rycerstwa swego: »Żołnierze sąście zawołania mego i mej chorągwi towarzysze wierne... a ja was stawiam niewiasty i męże na mury fortec i za twierdzy bramy... A wy się czujcie nie jak luza marna, lecz jako zwarta chorągiew i karna... i jak rycerstwo, któremu hetmani, Niebieska Pani!«

Czcigodni Panowie Sodalisi! Czy to nie w pierwszym rzędzie odezwa do was? Wszak wyście naprawdę tą gwardją milicji Marjańskiej. Wszak należycie do owej wspaniałej wszechświatowej, zwartej i karnej chorągwi pancernej rycerstwa Marjańskiego. Jesteście żołnierzami zawołania samej Królowej nieba. Hetmani wam Przeczysta Niepokalana Matka Boga. Ona to stawia was na murach fortec dusz waszych i na twierdzach bram, byście bronili odwiecznych praw Boga, praw Kościoła i etyki chrześcijańskiej. Tak jest — macie być rycerzami, walczącymi o najświętsze dobra boże, osobiste i społeczne. Co za zaszczytne zawołanie! To Marja was wzywa, Marja zleca sercom waszym, waszemu męstwu, waszemu rycerskiemu honorowi tę świętą sprawę. A więc bój zadaniem waszem i bój

w dalszym ciągu was czeka. Wszak już stary Job wypowiedział te znamienne słowa, iż: *Bojowaniem jest życie człowieka na ziemi* — a doświadczenie stwierdza tę prawdę. Czy nie widzicie, jak potęgi wraże uderzają szturmem na owe twierdze wiary i kultury chrześcijańskiej? Zagrożone dziś mury bastjonów życia katolickiego w rodzinie, szkole i całem omal publicznem życiu. Niebywała nawała bezbożnictwa, zuchwałe ataki na moralność społeczną, poniżanie wszelkich ideałów, egoizm i żądza użycia występują już z otwartą przyłbicą na arenę dziejową. I czyż nikt się temu rozpasaniu zła nie oprze? A przecież żołnierzami jesteście — a zatem walczyć, by pohamować ten zalew i zwyciężyć. Boć rezultatem walki — zwycięstwo. Czy zwyciężycie? O, nie lękajcie się! Gdybyście do walki stanęli sami, to los wygranej mógłby być niepewny. Ale wam przewodzi zawsze zwycięski Hetman i Wódz — Chrystus! Czyż nie powiedział sam: *Ufajcie, jam zwyciężył świat* (Jan 16, 33). Przecież wy w imię Jego i przy Jego boku macie walczyć, o Jego święte prawa macie walczyć, w obronie własnych i waszych braci dusz, macie walczyć. Czyż jest kto i może być, któryby zwalczył Chrystusa?! Przecież wam »hetmani Niebieska Pani« — a o Niej śpiewa Kościół, iż »Ona sama wszystkie zwyciężyła herezje«. A cóż potworniejszego i zgubniejszego od herezji?! Oto całe kraje odpadły od wiary, przyjmując herezję Arjusza. — »I zadziwił się świat, ujrzawszy się nagle arjańskim«, powiada jeden z ówczesnych czasów Święty. A oto wystarczyło jedno orzeczenie Soboru, iż »Marja jest Matką Boga«, by cała herezja rozsypała się w gruzy. To znowu cały omal Zachód odwróciła od wiary i Kościoła herezja Albigensów. I co ją pokonało? Nie miecz, nie nauka, ale niepokaźna napozór modlitwa Marjańska, polecona przez Marję św. Dominikowi — różaniec.

A komu zawdzięcza chrześcijaństwo słynne wiekopomne zwycięstwa pod Lepanto, Chocimem, Częstochową, Wiedniem i Warszawą? Naszej Najświętszej Sodalicyjnej Pani. Przed Nią drży i pierzcha sama potęga piekieł. A zatem byle tylko z Nią i pod Jej zwycięskim znakiem bić się a w boju wytrwać, to wygrana wasza pewna. A czy to nie Jej sztandar czci i nabożeństwa i miłości ku Niej unosi się nad wami? nie Jej ryngrafy jakby tarcze obronne zasłaniają wam piersi? nie Jej rozkaz

dzienny i obietnica opieki wypisana na dyplomach i wygłoszona w ślubowaniu i przyjęciu sodalicyjnem? Tak jest! jesteście zupełnie i całkowicie żołnierzami zawołania Królowej nieba. Wysokie zawołanie, wysoka szarża! Czy można stać się jej niegodnym? Czy można usuwać się z pola walki, nie wytrwać aż do końca? A kiedyż on koniec, kiedy nastąpi zwycięstwo, bo zapewnia je Chrystus i Marja!

Końcem walki, koniec życia jak wiemy — tam rozgrywa się ona i decyduje o zwycięstwie. A za zwycięstwo nagroda: cudne wiekuiste szczęście nieba.

Czyż więc to niedobrze, że w owej armji zwycięskiej dano wam walczyć — i to rycerzom wybranym — ramię przy ramieniu, by łatwiej i raźniej i z większą moralnie pewnością przychodziło wam ten bój staczać? Czyż, jeśli już łaska Boga i Marji do tych szeregów was powołała, można sobie tej pancernej Marjańskiej chorągwi nie cenić, a ceniąc nie spełniać przyjętych na siebie obowiązków żołnierskich? Prawda! dobrowolnie wstąpiliście w te szeregi i dobrowolnie zdecydowaliście się te obowiązki pełnić i w tej rycerskiej służbie do ostatniego tchu wytrwać, ale czyż przez to możecie się do spełniania ich nie poczuwać? Czyż Sodalicja może sodalisowi stać się niepotrzebną?

A któż to jak nie ona p r z y p o m i n a wam konieczność cenienia sobie i zabiegania o to co najważniejsze w życiu waszem? Już sama myśl przynależenia do wyborowej gwardji Królowej nieba, woła do każdego z was: Sodalisie! tyś żołnierz, masz walczyć o własne twoje najwyższe dobro, o własne twoje najwyższe, bo wieczne szczęście! Kiedy się gromadzicie czy u stóp ołtarza, czy na zebraniach, czy nie zapominacie choć na tę chwilę o troskach i utrapieniach życia i o tem co doczesne a tak kruche i przemijające, a nie wznosicie serca i oczu ku niebu, dla którego ostatecznie trzeba wam żyć, pracować i cierpieć?

Czy nie Sodalicja p o c i ą g a was ku dobremu, uświęcaniu się i zbieraniu zasług dla nieba? Wiemy jak łatwo dać się uwieść i pochłonąć temu co doczesne, przyziemne a oszałamiające może na chwilę... by wkrótce doznać zawodu i rozczarowania, duchowej pustki i życiowego załamania. A Sodalicja swym

spokojem i skupieniem, wskazaniami i jakby jakąś ożywczą mocą, podnosi was, krzepi i hartuje — czy nie tak?

Czy nie Sodalicja p o m a g a, to przykładem wzajemnem bożego życia, czci i miłości ku Marji, wzajemną zachętą, wzajemną wspólną modlitwą, do urzeczywistnienia Chrystusowego nakazu: Bądźcie doskonałymi? Dlaczego? bo *zapłata wasza obfita jest w niebiesiech!*

Oto dlaczego cieszyć się i szczycić, że wam dano być i walczyć w sodalicyjnych szeregach. Tylko być i walczyć mężnie a wytrwale aż do końca całem sercem — a z pomocą Boga i Marji zwycięstwo wasze pewne!

Ks. Wł. Wojtoń T. J.